

odgłosy

TYGODNIK

ROK VII

I-48412/73 19.4

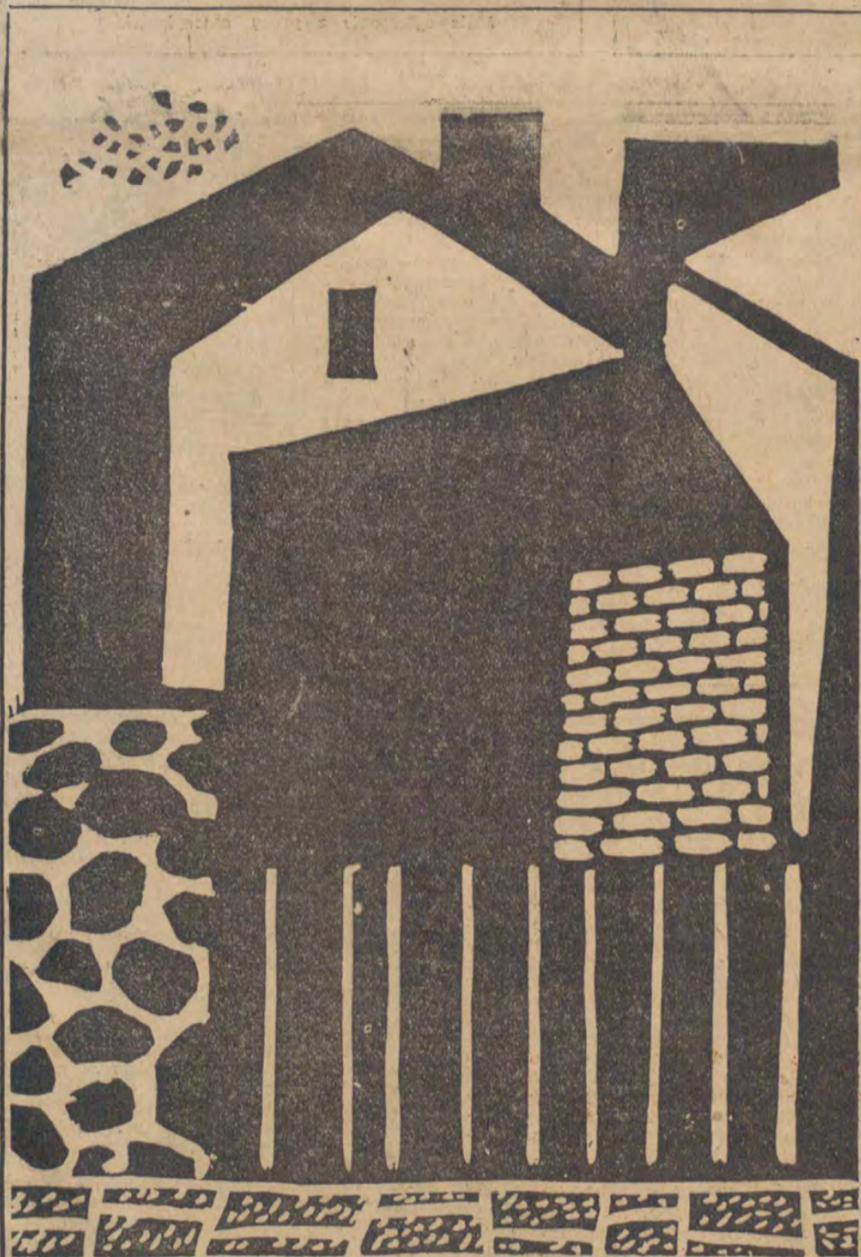


NR 1 (305)
5. I. 64 R.
CENA 1 ZŁ

W numerze: ● opowiadanie Vladana Desnicy ● wiersze poetów jugosłowiańskich ● debiut Mieczysławy Kaut ● reportaż z Wieży Babel ● rozmowy o teatrze ● Lech Budrecki o Malcolmie Lowry

VLADAN DESNICA

KOLOROWE PUDEŁECZKO



Ofiaryna

Jerzy Urbanowicz

Nagie zbocze przykryte skąpym, podgórskim śniegiem, spod którego gdzieś wystaje na wpół zawiany grabowy pień, smrek lub kamień. A za tą głuchą koliną przeczuwa się druga, za drugą — trzecia i tak dalej, aż do końca świata i po kres czasu. Głucha, nieskazitelnie biała pustka, falista zawieja cząsteczek martwej skorupy ziemskiej, jak w czasie stworzenia.

A dzień krótki i szary. Zmartwiała przestrzeń czasu ścięła się monotonicznie, tuż za nią druga i trzecia, niezmiennie jak i powierzchnia, skorupy ziemskiej — geologiczny wiek ziemi.

W małym czworoboku okna, niskie, markotne czoło mężczyzny i oczy, które bez określonej myśli, niemo wpatrują się w tę pustynię przestrzeni i pustynię czasu — dwie pustynie, co zdają się wybuchać pod jego niskim czołem i roztopiać w nieskończoności.

Bliższe niż na odległość strzału, kryte strzechą chaty przysiółka, przycupnięte do ziemi pod pierzyną śniegu, a z żadnej nie wydobywa się choćby smużka dymu.

I noc zapada. Noc, która tak wcześniej się poczyna a długo się gotowi i rodzi — długa, bezczasowa, geologiczna noc.

Na odludziu budynek jednoklasowej szkoły z mieszkaniem nauczyciela jak biała kostka na białym kilimie podgórskiego zbocza.

A na pięterku za szybą, on, w butach z cholewami i baranicy na głowie, zarosnięty, o niskim, upartym czołe, wpatruje się z uporem w głuchą dolinę, w mgliste poczucie nocy.

W kuchni, której okna wychodzą na drugą stronę świata, bezszelstne, nieśmiało krzątanie kobiety. Pustkowie. Tylko raz albo dwa razy na miesiąc przejdzie przez wioskę kilku zandarmów z bagnietami nasadzonymi na lufy karabinów. Odprowadza ich wzrokiem, pilnując czy nie obejrzą się za siebie w stronę kuchennego okna, i oddycha z ulgą dopiero wtedy, kiedy lśniące ostrza bagniet utoną w dolinie za przełęczą.

Drugi rok służby w Medwidzi — za karę. Za przeciwstawianie się i za upór. Zeszłego roku, na wiosnę, pierwsza wizyta u koleżanki w Birowcu — czternaście kilometrów drogi — i od tamtej chwili bezustanna, dotkliwa myśl o niej. Białolica, jasnowłosa, wymizerowana kobieta o pokornym ciele i zaskakującej nieprzeczuwalnej kragłości kształtów, tak białych i miękkich, że aż oslepiających, pod płaską na oko, jak deska, powierzchnią — kobieta, która dla żenującej wprost białości cery zwodzi i podnieca. Kobieta, która bezustannie się poddaje i oddaje, w taki sposób, jak gdyby nigdy nie miała poddać się zupełnie. Ściągnął ją do siebie, do Medwidzi, w zeszłym

Z Nowym Rokiem

Być może przyszły historyk spojrzysz na ten rok inaczej, być może — przyszłe pokolenia zarzucają nam zarozumiałość. My jednak przeświadczeni jesteśmy, że w roku 1963 spełniło się coś historycznie nowego. Pamięć zachowa dla potomności szczególnie jeden z 365 minionych dni — 5 sierpnia 1963. Pod tą datą historyk odnotuje treść i miejsce wydarzenia: układ o częściowym zakazie doświadczeń z bronią jądrową, Moskwa.

Przypomnienie tego faktu wydaje się nader istotne. Gdy bowiem w sylwestrowy dzień zegar wybił północ, a najbliżsi składali sobie życzenia spełnienia najskrytszych marzeń — towarzyszyła im ufność, że nowy rok nie przyniesie lawiny, która zniweczy pokładane nadzieje, że wypowiedziane przy kieliszku szampańskiego życzenia mogą być realne.

Kalendarz odmierza już pierwsze godziny i dni nowego, szczególnego roku. Szczególnego nie tylko dlatego, że jest to rok przestępny, lecz przede wszystkim dlatego, że obchodzić w nim będziemy swój jubileusz.

Na czas, określony datami 1944—1964, każdy spojrzysz z pewnością z własnego punktu widzenia. Ale przecież odnajdziemy w nim wiele tego, co wspólne — dla Ciebie, dla mnie, dla niego...

By bowiem prawidłowo określić szmat przebytej drogi prócz miar osobistych przykładać trzeba i inne. Jedną z nich może być porównanie ówczesnej i dzisiejszej gospodarczych map kraju.

Czy zadaliście sobie kiedyś trud, by na kontury Polski, Łodzi czy województwa nanieść kolorowe kółka, kwadraty i trójkąty nowych obiektów — przemysłowych, szkół, szpitali i bloków mieszkalnych?

A może zastanawialiście się, jaką głęboką wymowę mają pozornie tylko suche liczby, wymieniane w noworocznych wywiadach?

Z perspektywy krótkiego życia człowieka dwadzieścia lat — to kawał czasu. W dziejach narodu — to zaledwie chwilka. Zapisala się ona jednak na kartach historii nowymi, niepowtarzalnymi wartościami, w których maleńką cząstkę ma każdy z nas i z których wraz z dostojną jubilatką — Polską Ludową cieszyć się będziemy całym sercem.

Jest bowiem prawidłowością naszych czasów, że wspólne zamierzenia i cele spletają się nierozdzielnie z osobistymi, a wspólny dorobek daje powody i do jak najbardziej osobistej radości.

Jak najwięcej tej właśnie radości wraz z Nowym Rokiem.

życzą
Czytelnikom
„ODGŁOSY”

dalszy ciąg na str. 6

odgłosu w świecie

PROCES OŚWIECIMSKI

20 grudnia rozpoczął się we Frankfurcie nad Menem proces przeciwko 22 byłym funkcjonariuszom SS nadzorującym obóz w Oświęcimiu. Wbrew oczywistej winie oskarżonych większość z nich zeznała z wolnej stopy. Prasa zachodniemiecka poświęca procesowi niewielką uwagę. Mimo to znalazł się on w centrum zainteresowania światowej opinii publicznej. Oto fragmenty relacji z pierwszego dnia procesu, jaką przyniósł „New York Herald Tribune”:

„Wilhelm Boger, szef wydziału śledczego obozu w Oświęcimiu był jednym z najbrutalniejszych SS-owców. Akt oskarżenia zarzuca mu m. in. iż w Oświęcimiu własnoręcznie zabił pewnego polskiego generała oraz zastrzelił bez żadnej przyczyny przynajmniej stu oficerów radzieckich. W obozie sławna była tzw. „huśtawka Bogera”, tortura polegająca na wieszaniu ofiary na belce stropowej za ręce wykręcone do tyłu, kończąca się z zasady śmiercią ofiary. Lecz dziś po dwudziestu latach Boger nie wydaje się zbyt wstrząśnięty ani swą przeszłością, ani tym procesem. „Oświęcim miał w czasach, gdy tam służyłem, najniższy procent ucieczek z wszystkich obozów w całej Rzeczy — oświadczył Boger nie bez dumy w pierwszym dniu rozprawy — „i mogę stwierdzić, że jako niemiecki żołnierz jestem w zupełnym porządku: czyniłem to, co robili wszyscy”. — Po czym Boger wypowiedział zdanie, które brzmi całkiem już niewiarygodnie. — „Oczywiście czuję pamięć tych wszystkich, którzy stracili życie i zdrowie w Oświęcimiu. Ale trzeba pamiętać i o nas, byłych funkcjonariuszach obozu. Nam się też należy współczuć”. — Gdy Boger zeznał, że miejscowa niemiecka policja w Bawarii pomogła mu ukrywać się w roku 1945 przed władzami alianckimi, na sali odezwały się znaczące pokaszliwania. — „Może się to i komu nie podoba — zawołał Boger w kierunku ławy prawej. — Ale w tych czasach okazało się przynajmniej, że my, Niemcy, potrafimy być solidarni!”

Boger nie jest zresztą głównym oskarżonym procesem: jest nim Robert Mulka, kapitan SS i prawa ręka osławionego Rudolfa Hoessa. Mulka, dziś 68-letni, cieszący się powszechnym zaufaniem handlowiec, odpowiada z wolnej stopy, ze względu na zły stan zdrowia. Podobnie wielu innych oskarżonych. Humanitarna troska sądu w zestawieniu z potwornymi zbrodniami oskarżonych, sprawia wrażenie makabrycznej farsy. Zresztą cały ten proces jest w najwyższym stopniu niewygodny dla Bonn i należy oczekiwać, iż prasa zachodniemiecka uczyni wszystko, by odwrócić od niego uwagę opinii publicznej.



Lusterko prawdę ci powie

Setki tysięcy obywateli Zachodniego Berlina odwiedziło swych bliskich we wschodnim Berlinie. Stało się tak dzięki nowej pokojowej inicjatywie NRD. Opinia światowa przyjęła to wydarzenie z ulgą i nadzieją, łącząc z tym faktem coraz liczniejsze wypowiedzi mężów stanu, (ostatnio m. in. premiera Hume'a) o możliwości ostatecznego wygaśnięcia zimnej wojny w roku 1964. I tylko prasa zachodniemiecka czyni co może, by zatrzeć optymistyczne wrażenie, jakie wywarło porozumienie berlińskie. Ze szralt zachodniemieckich gazet wciąż przemawiają co bardziej jadowite pióra zimnowojennych publicystów. A obok: wzmianki o eksperymentach jakie Bundeswehra przeprowadza na holenderskich poligonach z nowym rodzajem broni rakietowej.

Paweł VI przygotowuje się do odbycia pielgrzymki do Ziemi Świętej. Zachodnia prasa poświęca temu wydarzeniu wiele uwagi, dopatrując się w nim dowodu nowatorskich dążeń następcy Jana XXIII. Bardziej wnikliwi obserwatorzy wyrażają jednak żal, iż śmiałe inicjatywy pokojowe zmarłego papieża, (encyklika Pacem in Terris) zastąpiły takie efektowne wprawdzie, ale o mniejszej, ogólnoludzkiej treści, poczynania Pawła VI.

Wybuch nacjonalizmu na Cyprze i wrogie manewry zaprzysiężonych ponoć armii greckiej i tureckiej doprowadziły do nowej brytyjskiej interwencji (choć słowo to oficjalnie nie padło) w wewnętrzne sprawy tej niespokojnej wyspy. I tak raz jeszcze potwierdziło się przysłowie, że gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta: kosztem suwerenności Cypru Brytyjczycy wzmocnili swą pozycję na Bliskim Wschodzie.

Obserwatorzy polityczni zwracają coraz baczniejszą uwagę na wzmaganą aktywność dyplomatyczną i handlową Francji na Dalekim Wschodzie. General de Gaulle przebolewał już klęskę militarne Francji w Wietnamie i teraz z kolei Paryż nie ukrywa zadowolenia z fiaska amerykańskiej polityki w tym niespokojnym regionie świata. Nad Sekwaną krąży powiedzonko, że Mc Namarra czeka już tylko na swoje Dien Bien Fu. A komentator tygodnika „Newsweek” z głęboką troską zastanawia się nad przyszłością południowego Wietnamu, kraju, w który włożono tyle miliardów dolarów. Co będzie, jeśli Francja przejmie rolę mediatora i wysunie propozycję zneutralizowania południowego Wietnamu? Wydaje się jednak, że w tych sprawach więcej od ewentualnych mediatorów znał Sekwanę będą miały do powiedzenia siły narodo-wyzwoleńcze Wietnamu.

KŁOPOTY FBI

Zabójstwo prezydenta Kennedy'ego i tragiczne fakty, które temu towarzyszyły fatalnie zaszkodziły opinii policji i FBI w oczach społeczeństwa amerykańskiego. Aby temu zaradzić, ostatnio dokonano szeregu akcji, mających świadczyć o wysokiej sprawności tych organów. I tak, między innymi:

■ nadano olbrzymi rozgłos porwananiu syna śpiewaka Franka Sinatry, a następnie „błyskawicznej” akcji, która doprowadziła do ujęcia kidnapierów... Nie udało się jednak ukryć, iż zbrodniarze byli „amatorami” i policja ujęła ich bez trudu.

■ Aresztowano 21-letniego studenta z Dallas, który na parę dni przed zabójstwem prezydenta odgrażał się iż dokona takiego właśnie zamachu. Został on następnie zwolniony za kaucją i oświadczył dziennikarzom — „Ja tylko żartowałem!” Czy można skazać człowieka za żarty na więzienie? A szef policji w Dallas wyjaśnił iż przed fatalną podróżą prezydenta podobne pogroźki czynili tysiące mieszkańców tego zanego miasta.

■ Służba wywiadowcza aresztowała 29-letniego Roberta Fenella, który odgrażał się iż zamiecha dokonać zamachu na prezydenta Johna. Później okazało się, że Fenell jest od wielu lat psychicznie chory.

W czasie gdy policja i FBI były tak oto zapracowane, przewodniczący komisji śledczej sędzia Warren nie uznał raportu FBI w sprawie śmierci prezydenta za wyczerpujący i wznowił śledztwo mimo uprzednich zapewnień policji iż „sprawa o zabójstwo prezydenta została ostatecznie zakończona”.



Małe ogłoszenie z prasy amerykańskiej

JESZCZE O „LAKONII”

Śledztwo w sprawie pożaru na „Lakonii” ujawnia wciąż nowe okoliczności obciążające zarówno właścicieli statku jak i jego załogę. Te ostatnie obciążają winą za panikę, jaka wybuchła na statku, wszyscy niemal ocaleli z katastrofy pasażerowie. I tak:

■ Angielka Helena Gatside stwierdza, że część załogi była pijana i oblegała bary i bufety statku. Gdy wybuchł pożar, od pasażerów zażądano pomocy w akcji ratowniczej. W tym samym czasie załoga już spuszczała na wodę i okupowała łódzie ratunkowe.

■ Dla około 80 pasażerów zabrakło miejsca w łodziach ratunkowych. Pozostawiono ich bez pomocy na pływającym statku.

■ 11-letni Derwick Potter opowiada, że łódź ratownicza, w której się znalazł wraz z matką, wyrwała się, gdy zaczęli do niej wskakiwać ogarnięci

paniką marynarze. Chłopca uratowali pasażerowie innej łodzi, matka jego zginęła.

■ Małżeństwo Lovet z Londynu stwierdza, że w łodziach brak było sprzętu ratunkowego, środków opatrunkowych i wody. Pompy odwadniające były zepsute, urządzenia sygnalizacyjne nie działały.

W tych okolicznościach właścicielom „Lakonii”, a także kapitanowi statku grożą poważne konsekwencje karne i procesy o odszkodowanie. Nic więc dziwnego, że kapitan „Lakonii” Matteo Zarbis zaprzeczył kategorycznie zeznaniom pasażerów. „Wszyscy uczyniliśmy, co do nas należało” — oświadczył Zarbis na konferencji prasowej. „A to co się stało, było tylko nieszczęściem”.

Wydaje się jednak, że komisja śledcza badająca przyczynę katastrofy „Lakonii” będzie innego zdania.



**Napisz
co myślisz**

**O KSIĄZKACH
WYDAWNICTWA
ŁÓDZKIEGO
O REPERTUARZE
ŁÓDZKICH
TEATRÓW
O „ODGŁOSACH”**

a list Twój weźmie udział w losowaniu nagród książkowych. Najciekawsze wypowiedzi opublikujemy na łamach Twojego tygodnika.

„ODGŁOSY”

MATKA KOMUNISTÓW

Tak ją nazywano: matka komunistów. Z sękiorga jej dzieci pięcioro poniosło śmierć dla Sprawy. Wśród zamordowanych była i córka Małgorzata.

Na to piękne nazwanie — matki komunistów — zastąpiła sobie w pełni. Nie tylko dlatego, że jej dzieci były komunistami. I nie tylko dlatego, że była matką Małgorzaty. Ale przede wszystkim dlatego, że była matką, która umiała wychowywać, że umiała znaleźć w życiu najwłaściwszą ścieżkę, którą poprowadziła i swoje dzieci. Marcjanna Fornalska, matka Małgorzaty, była córką chłopca pańszczyźnianego. Jej matka była „półstuszą” i „półpoddana”. Marcjanna nie kończyła żadnych szkół. Jej podpis, który umieszczono na ostatniej stronie „Pamiętnika matki” jest typowym podpisem półpismiennej chłopki. Takie podpisy znajdujemy na bardzo starych dokumentach i listach. Litera są krzywe i nierówne, i są ustawione jak kłocki na wy-

boistej drodze. Piszę wedle starych reguł: Marcjanna. „Czytać to się sama nauczyłam. Ale pisać nie umiem... Już mało widzę, ale maszyna ma wyraźne litery i tak pojedynczo je dobieram i wystukuję...”

Napisała więc książkę o swoim życiu. Powracamy często do kart tej książki. Gdyż jest to książka niezwykła. Opowiada ona o losach rodziny Fornalskich. Opowiada o trudnym życiu Marcjanny. Ale książka ma szersze znaczenie. Wykracza daleko poza dzieje jednej rodziny. Krytyka oceniła „Pamiętnik matki”, że jest on „niespotykanym źródłem wiedzy” o czasach, w których żyjemy, i które odeszły już do historii, o ludziach, o komunistach. Opowiadanie Marcjanny jest podyktowane „ogromną miłością do ludzi, których dzieje znała, ponieważ widziała w tych dziejach swoje własne”.

Życie nie oszczędziło Fornalskiej niczego: ani łez, ani smutku, ani goryczy.

Mieszkała w dzieciństwie w kurnej chacie. Mieszkała w pewnym okresie w izbie „podobnej do trumny”. Doznała goryczy matki, w której obecności sługa dworski bije jej dziecko. Powie wówczas: „Jeżeli moje dzieci miałyby pracować we dworze i być bite, to lepiej niech mi umrą!” Doznała upokorzeń człowieka zależnego: była wyrobnicą, praczką i stuszą. Ale gdziekolwiek była i cokolwiek robiła walczyła jej zawsze dwa motywy: walczyła o chleb dla dzieci, i walczyła o wiedzę, o książkę dla nich. Trochę o zapewnienie dzieciom nauki towarzyszyła jej przez całe życie.

W okresie Rewolucji Październikowej Marcjanna była w Rosji. Tam rzuciły ją losy wojny. Ta pięćdziesięcioletnia wówczas kobieta mówi: „Ja się na nowo narodziłam”.

W literaturze mamy wiele wzruszających portretów matek-bohaterek, matek-rewolucjonistek, matek poświęcających

się dla dzieci. Jakże zbliżona jest droga życiowa Marcjanny Fornalskiej do drogi matki Własowej z powieści Gorkiego! Marcjanna Fornalska pisząc swój pamiętnik nie myślała o sobie. A przecież jej wyznania kreślą jedną z najbardziej pięknych postaci kobiecych. Życie Marcjanny Fornalskiej — jakże wiernie odłaja życie tysięcy kobiet w Polsce, które rewolucja „na nowo odrodziła”. To życie przykład łódzkich i starych chłopek, które, jak Fornalska, potraciły swoje dzieci w ostatniej wojnie. Kiedy Marcjanna Fornalska na próżno szuka w gruzach Pawiaka i Serbii miejsca, gdzie zginęła jej córka, powie: „Takich matek bolesnych, które nie wiedzą, gdzie są mogiły ich dzieci, jest nas tysiące. O matki! Łzy moje spływają nie tylko po moich dzieciach, z których jedno tu gdzieś pod gruzami, a drugie może żywcem spalone, ale i po waszych, które także są stracone jak i moje. I tylko jedno ukojenie dla naszych zbolotałych serc: nigdy już więcej tego koszmarnego, tego najgorszego nieszczęścia człowieka — nigdy już wojny!”

Portret Marcjanny Fornalskiej, matki-komunistki zostanie w naszej literaturze i życiu na zawsze.

T.

"UHURU"

Stadion zamrzał w oczekiwaniu i utkwil spojrzenie w brytyjskiej flagie, która powiewała na gigantycznym maszcie. Jeszcze dwie sekundy, jeszcze sekunda... Wybiła północ. W tym momencie kilkadziesiąt reflektorów, jak na komendę, skierowało snop ostrze światła na „Union Jack”, na flagę – symbol największego imperium w dziejach ludzkości. Niedawno, w posiadłościach brytyjskich nigdy nie zachodziło słońce, a oto wspaniały „Union Jack” zjeżdża z masztu w dół, pada wreszcie na ziemię w blasku reflektorów i w poświacie księżyca. Sceneria jak w fantastycznym teatrze. Sama natura jest najlepszym reżyserem.

Uhuru, uhuru – wolność, wolność! Wśród ogłuszających okrzyków na maszt wciągano czarno – czerwono – zieloną flagę Kenii. Uhuru, uhuru... tłum śpiewał, tańczył, szalał...

Nairobi, stolica Kenii. O północy tego grudniowego dnia, wybiła w tym mieście godzina wolności 35 państwa Afryki.

Jeszcze jeden naród zdobył niepodległość. Właściwie nie naród, lecz liczne szczepy i plemiona, które dopiero w państwowym tygrysu powinny w perspektywie lat, przeobrazić się w jednolity naród. Bo w pamiętną noc, na stadionie w Nairobi, obok masajskich oszczepników stali wojownicy Kikujów, brązowi „Turkana” i ciemnoskórzy „Luo” znad brzegów Jeziora Wiktorii.

Pośród tych ostatnich stał Tom Mboya. Zwartą grupę tworzyli nie znający leku młodziwowie szczepu „Samburu”. Przemierzali 100 kilometrów w ciągu jednego dnia. To dla nich fraszka, zwykły spacer. W pogoni za zwierzem odbywają dłuższe marsze. Oto Murzyni znad Jeziora Rudolfa, z wiosek położonych u stóp Kilimandżaro, skąd Hemingway wyruszał na dalekie „safari” za grubą zwierzyną. Wszyscy oni stali na stadionie i nie zdejmowali wzroku z masztu i flagi. Rozległy się słowa hymnu „Ee Mungu Nguvu Yetu...” – „O Boże wszelkiego stworzenia...”

Potem wystąpił Jomo Kenyatta; marzył o takiej właśnie chwili przez 40 lat. Nie tylko marzył, dążył do celu uparcie, miazdząc po drodze przeszkody. Walczył. Wolność to rzecz szczególna. Nikt jej nigdy nie otrzymuje w darze. Za wolność płaci się krwią, taka jest cena. Jomo Kenyatta zaprosił białych osadników do współpracy w formowaniu nowego państwa.

Osadnicy krzyknęli: – Harambee... niechaj się dzieje... Jest pewne, że jeśli na stadionie przebywał wtedy mister Grogan, to nie przyłączył się do tego okrzyku. Milczał, miał na pewno zacisnięte usta.

Problem jest drażliwy, tak czy owak, trzeba go będzie rozwiązać, 56 tysięcy białych kolonizatorów trzyma w swych rekach tak zwane „Białe Wzgórza”. To najbardziej żyzna część Kenii, o nieźrównanym klimacie. Plantacje na północ od Nairobi niczym niezmiernie szklarnie na wolnym powietrzu, dają produkcję przez okrągły rok. Prawie 75 procent eksportu Kenii pochodzi z „Białych Wzgórz”. Wszystko tu się udaje, Kawa, bawełna, ryż, jęczmień, pszenica, groch, fasola, wszystko, co posiejesz, daje królewski plon. Istny raj na ziemi.

Kenia, w długim sznurze posiadłości brytyjskich, należała zawsze do najbardziej arystokratycznych kolonii. Perła we władaniu wąskiej elity. Na „Białych Wzgórzach”, jednym z najatrakcyjniejszych miejsc na tej planecie, osiedlili się lordowie, (prawie 900 angielskich rodzin ma prawo do tytułu lorda), dyrektorzy na emeryturze, dawni pułkownicy najświetniejszych pułków Jej Królewskiej Mości.

Ta arystokratyczna elita władzy zachowała po dziś dzień styl życia z czasów królowej Wiktorii (Old Mery England). Więc z okresu szczytu brytyjskiej potęgi. Dżentelmeni z okolic Nairobi jeżdżą najchętniej konno, lub powozem. Mieszkają w obszernych pałacach, o licznych werandach, kolumnach, przypominających do złudzenia siedziby plantatorów bawełny z filmu „Prze minęło z wiatrem”.

Tak jest, przemienilo z wiatrem. I chociaż monumentalne pałace trwają w niewzruszonej pysze, to jednak nie one są ośrodkiem władzy. Jest nim niewielka farma w Gutundu, w której przebywa Jomo Kenyatta z

młodziutką „Ngina”, swą czwartą żoną. Pierwszą była Angielka. Z okien farmy rozciąga się widok na imponującą masę góry Kenii, której szczyty, poszarpane korony są jak Mont Blanc, pokryte wiecznym śniegiem i lodowcami.

Góra Kenia jest świętą górą. Według Kikujów na jej szczycie mieszka Ngai, mieszka sam Bóg.

Jomo Kenyatta jest zakochany w tej górze; napisał kiedyś o niej wstrząsającą książkę.

Burliwe jest życie premiera Kenii. W 1929 roku wygłaszał w Anglii, przed ciekawskimi „ladies” odczyt o „circumcision”, obrzezaniu kikujskich dziewcząt. Występował też w filmie razem z Pauliem Robesonem, grał rolę murzyńskiego wodza. Imal się różnych prac, w końcu rozpoczął studia w londyńskiej „School of Economics”. Podczas II wojny światowej zatrzymał się w jednej ze wsi hrabstwa Sussex. Zarabiał wówczas 14 dolarów tygodniowo jako robotnik na dużej farmie. Tam też poślubił angielską dziewczynę. W całym Sorrington był zany jako „Jumbo”, często przesiadywał w karczmie „Pod Białym Koniem”, gdzie w otoczeniu wesołych kompanów, recytował na ich prośbę, poematy Kiplinga i Szekspira.

W 1948 roku Kenyatta powrócił nagle do Kenii. To był moment zwrotny, prawie natychmiast po wyładowaniu Kenyatty, w kolonii powiało rewolucją.

Jomo Kenyatta to osobowość fascynująca, indywidualność dużego formatu, mówca z urodzenia, polityk z powołania. Gdy przemawia Jomo, nawet ptaki urywają świer-

got, nawet dzieci zamierają w bezruchu. Wrażenie jest piorunujące. Timbre głosu, metaliczne tony, dobywające się z samych głębin piersi, cała postać Kenyatty wywierają na słuchaczy magnetyczne działanie. Nikt nie ma wtedy ani przez moment nawet cienia wątpliwości, że to przemawia wódz, prawdziwy król.

Czyż Kenyatta nie był uczniem czarnoksiężnika? Czyż – jak sam wyznaje – „nie chodził po świecie ze swym dziadkiem „magikiem, czarodziejem, cudotwórcą”, czyż nie uczył się od dziadka magicznej sztuki zaklęcia?

Kenyatta jeździł po kraju i wołał: „Europejczyści zabrali nam ziemię, ale ta ziemia należy do nas. Trzeba ją tylko odebrać. Nie bójcie się przelewu krwi...”

Wtedy to po Kenii rozszły się wieści o tajemniczym spisku Mau-Mau. Sam dźwięk tego słowa wywoływał paraliżujący efekt. Opowiadano o groźnym buncie wojowników Kikujów, którzy przysięgli, że nie spoczną, póki kraju nie opuści ostatni z białych „bwana”. Opowiadano o mroźnym krew w żyłach rytuale przysięgi, o barbarzyńskich mordach, gwałtach, podpaleniach. Angliki zdawili powstanie kosztem 150 milionów dolarów.

W walkach zginęło 32 Europejczyków, 1.740 Afrykańczyków i 11.500 powstańców Mau-Mau.

Jomo Kenyatta został wtrącony do więzienia. Zarzucano mu współudział w mordach Mau-Mau, choć nigdy mu tego nie udowodniono. Spisek sformułowano z angielską brutalnością. Z dymem poszły całe okręgi. Brytyjczycy w takich wypadkach szybko zapominają o cytatach z Biblii i względach humanitarnych. Ziarno padło jednak na dobrą glebę i zaczęło kiełkować. Niezadowolone rosło, lada moment mogło wybuchnąć nowe powstanie. Z dwójga złego Londyn wybrał mniejsze zło. Z typową dla tego rządu trzeźwością w ocenie sytuacji Londyn wołał zaryzykować los 56 tysięcy białych kolonizatorów w Kenii, niż wpaść w wojnę z partyzantami, cały angielski naród. Algier był zbyt pouczającym przykładem, co niesie z sobą taka wojna i czym się kończy. Malaje również. Przed tem Wietnam, India i tyle innych krajów.

Uhuru, uhuru... rozległ się radosny wrzask tysięcy i tysięcy mieszkańców Kenii na stadionie w Nairobi.

Nie wiadomo, czy w chwili proklamowania niepodległości tego kraju znalazł się na tym stadionie colonel (pułkownik) Ewart Scott Grogan. Z całą natomiast pewnością wziął udział w tych uroczystościach Tom Mboya, Amerykański tygodnik „Newsweek” uznał, że Grogan i Mboya to obecnie najbardziej reprezentatywne, także najbardziej charakterystyczne figury na szachownicy dzisiejszej Kenii. Przecież, czy to w ekskluzywnym klubie, czy to na wyścigach konnych, gdziekolwiek zeszło się kilku Anglików, rozmowa z nieuchronnością przeznaczona zbaczała na temat Grogana, którego nazywano „Grogsem”.

Gdy młody Grogan skończył w 1890 roku studia w Cambridge, jego zamożny teść oświadczył:

– Mój drogi, pokaż teraz, czego jesteś wart.

Grogan pokazał. W pionierskiej wyprawie przeciął cały kontynent z południa na północ, z Kapsztadu do Kairu. „Trek” młodego Anglika ciągnął się na długości 7 tysięcy kilometrów, poprzez samo serce Afryki. Grogan ogłosił potem dzieło, w którym dowodził, że skolonizowanie Afryki jest obowiązkiem narodów, które są awangardą cywilizacji.

Był rok 1900. Po 58 latach młody Murzyn, syn analfabety ze szczepu Luo, na jednej z konferencji w Nairobi, krzyknął w twarz białym władcom: – Wynoście się, wasz czas minął! – Tym człowiekiem był Tom Mboya.

W 1904 roku Grogan stał się właścicielem plantacji szałwi i owoców na „Białych Wzgórzach”, o powierzchni 200 tysięcy hektarów. Zrezygnował, inteligentny, dowcipny, został wkrótce uznany za duchowego i politycznego przywódcę białych. Śnił wtedy o stworzeniu afrykańskiego dominium, w którym tubylcy nie byłiby eksploatowani, lecz traktowani z pewną „surowością” po to, „żeby można ich było przekształcić z niebezpiecznych brutalni w źródło pomysłów dla nich samych i całego kraju”.

Colonel Grogan był zawsze synonimem wytworności, dobrego smaku, dżentelmeńskiej elegancji. Dziś nie mniej wytworny jest 33-letni Tom Mboya, który posiada 100 ubrań sztych na zamówienie, jeździ mercedesem, cieszy się Pamelą, piękną żoną, wykształconą w USA. Ale nie zawsze tak było. Jego ojciec – analfabeta zarabiał na farmie 7 dolarów miesięcznie. Oplacanie w tych warunkach czesnego w średniej szkole, do której zaczął uczęszczać Tom, graniczyło z zupełną negacją własnych potrzeb. Szczęśliwy dzień – Tom uzyskał stypendium, mógł wyjechać na studia do Anglii.

Jeden z profesorów „Ruskin College” w Oxfordzie wspomina:

– Mboya dysponował najbardziej chłonna pamięcią, z jaką kiedykolwiek się zetknąłem.

Tom Mboya wypłynął na polityczną arenę Kenii poprzez kanał związków zawodowych. Wielu obserwatorów przypuszczało, że to on będzie pierwszym premerem niepodległej Kenii. Pomyłono się. Chociaż Mboya to człowiek niesłychanie pracowity, świetny organizator, choć w odróżnieniu od innych członków gabinetu jest niemal abstynentem, to jednak od urodzenia wlecz się za nim cień. Nie jest jednym z ludzi Jomo Kenyatty, nie należy do plemienia Kikujów. Z tego względu Mboya jest dziś „tylko” ministrem sprawiedliwości. Wszysko jednak przemawia za tym, że jego czas jeszcze nadejdzie.

Ten czas jest wrogiem Grogana.

Dzieci Grogana przygotowują się już do opuszczenia Kenii na zawsze. Sam Grogan jest uparty, zajadły, powiada: – Zostanę, gdzie jestem; chcę się przyrzec jak będzie wyglądać to szaleństwo... „Newsweek” pisze: – „Jak na ironię, dzień szaleństwa, dzień „Uhuru”, był dniem 89 rocznicy urodzin „Grosa Grogana”.

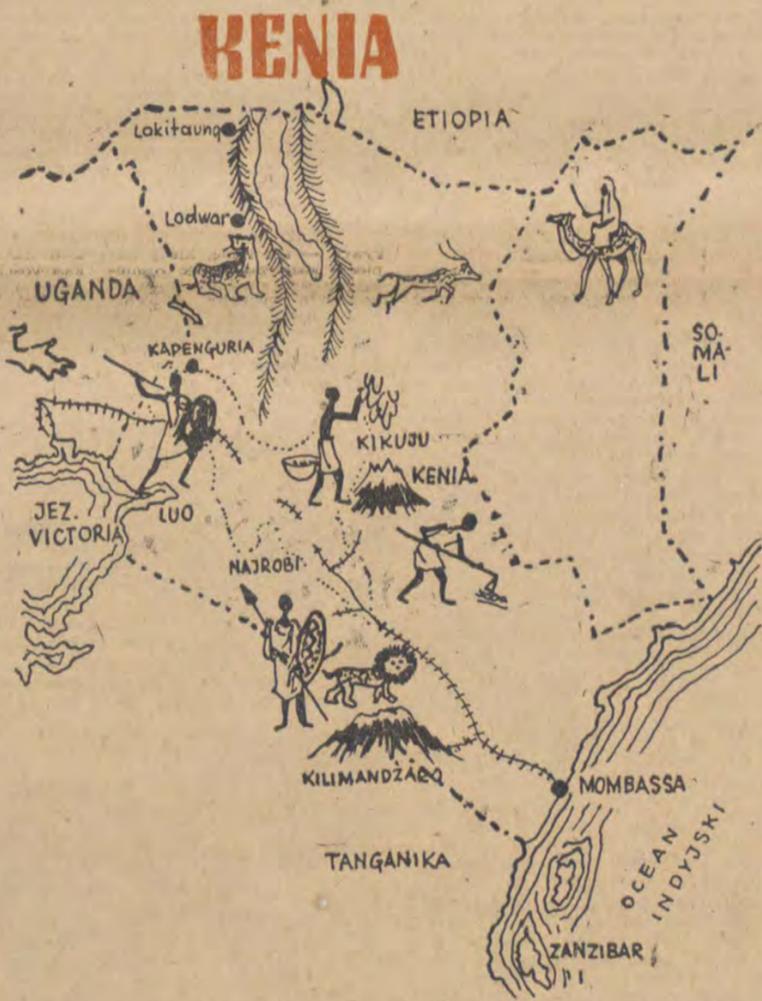
Grogan został w Kenii na czatach i obserwuje.

Być może, ma cichą nadzieję, że Kenia zamieni się pewnego dnia w nowe Kongo. Być może, sądzi, że liczne plemiona tego kraju nigdy nie zleją się w jeden naród i dojdzie do bratobójczych walk. Wielu polityków na Zachodzie, wrogich Czarnej Afryce, wyraża opinię, że cała Afryka przekształci się z wolna w rodzaj Ameryki Południowej, w kontynent ciągłych waśni i niepokojów, a także dyktatorskich rządów.

Zobaczymy. Czas pokaże, kto miał rację.

Mboya, młody polityk, giętki, inteligentny, po studiach w Oxfordzie, czy stojący nad grobem Grogana, wykształcony na tradycjach wiktoriańskiej Anglii? Przez Kenię przelatuje dziś okrzyk: „Uhuru na moją!” – Wolność i jedność. To hasło to dobry omen na przyszłość. Ludy Kenii zdają sobie sprawę, gdzie leży punkt ciężkości. Więc, „UHURU NA MOJĄ!”.

OPRAC. J. B.



ARTYSTA PLASTYK – ANDRZEJ SZONERT:

– Wrócił Pan z Paryża dopiero niedawno. Kiedy najchętniej pojechałby Pan tam powtórnie?

– Jutro, pojutrze, zaraz!
– Dlaczego?
– Francuskie wino, nawet to „codzienne” – Vin du Postillon, paryskie dziewczyny, galerie, muzea, Place Pigalle...
– Francuskie dziewczyny są naprawdę takie ładne?
– Czasem brzydkie, a mimo to – śliczne!
– ???
– Wdzięk – ten najwspanialszy skarb jakim natura obdarzyła francuskie kobiety – jest cenniejszy niż tzw. piękność. Dziewczyny chodzą wyprostowane, z podniesioną głową (koloru czarnego lub ciemnobrązowego, blondynki już niemodne), bez względu na porę roku w lociutkich szpileczkach i oczywiście

cie zawsze w pończochach. Sandalki w upalne dni widzi się wyłącznie na Lazurowym Wybrzeżu, – Ostatnia moda paryskich dziewcząt, młodych dam?
– Krótkie, wąskie spódnice z imitacji skóry, a także całe skórzane kostiumy. Do tego cieniułka bluzka z niezliczoną ilością koronek i falbanek. Ale są również „big-beatowe Giocondy” (tak nazywał je Jean-Paul); długie, proste czarne włosy, czarna suknia z owalnym dekoltem.
– A propos Mona Liza...
– Byłem, widziałem. Za pancernym szkłem, w „towarzystwie” dwóch potężnych drabów. Jean-Paul mówi, że wśród wszystkich turystów wyróżniają się Angliki i

Amerykanie. Odwiedzają Luwr tylko dlatego, żeby zrobić sobie zdjęcie przy obrazie Mony Lizy, rzeźbie Wenus z Milo, lub Nike z Samotrake.
– Kto to jest Jean-Paul?
– Jean-Paul Combescure – młody francuski pisarz awangardowy. Marzy o przyjeździe do Polski, chce poznać Łódź.
– Z nim chodził Pan nocą na Place Pigalle?
– Nie. On wtedy pisał swoją książkę. Wróciłem kiedyś o trzeciej nad ranem (po drodze wstąpiłem do jednego ze sklepików, kupiłem mleko, bułki) i przyniosłem rachunek z kabaretu stripteasowego „Tabaris”. Długo oglądałem małą, pomarańczową kartkę, a Jean-

Paul dziwił się, dlaczego ja tak się dziwię. Na odwrocie rachunku za jedno wypite piwo (8 franków, psianekrew) jacyś nieznanymi mi zupełnie faceci pouczali: „Votez – socialiste independant votez Andre Lassialle” – czyli, że ni mniej ni więcej tylko mam głosować na socjalistę niezależnego niejakiego Andre Lassialle...
– O co najczęściej teraz, kiedy wrócił Pan z Paryża, pytają znajomi?
– Czy widziałem BB i czy jadłem ślimaki.
– A pan?
– Widziałem Brigitte – na wielkim plakacie. Ślimaki paskudne.

Rozmawiała: H. B.

Są wśród nas

Spotykamy się niemal codziennie. Czasami zwraca uwagę przechodniów ciemny kolor skóry, czasem słyszy się na ulicy lub w tramwaju zupełnie nieznaną język. — Są oczywiście przedmiotem rozmów, rozważań, niemal mitów. Mówi się więc o paru tysiącach studentów mieszkających w luksusach, mających znakomite warunki materialne, o polsko-cudzoziemskich stacjach i awanturach. Przy bliższym zapoznaniu się z problemem mity się rozwiewają, zostają fakty: ciężka praca nad opanowaniem egzotycznego polskiego języka, niełatwe sprawy asymilacji w naszym społeczeństwie, w systemie studiów, klimacie i obyczajach.

Łódź jest największym w Polsce środowiskiem akademickim studentów zagranicznych. Istnieje w naszym mieście Studium Języka Polskiego (liczące w tej chwili 224 słuchaczy, przy czym liczba ta ciągle się zwiększa), po ukończeniu którego jego absolwenci studiuje w wyższych uczelniach w całym kraju. Część ich pozostaje w Łodzi. W łódzkich wyższych uczelniach studiuje obecnie 84 obcokrajowców (Politechnika Łódzka 27, Uniwersytet Łódzki 23, Akademia Medyczna 23, PWSTiF 10, Wyższa Szkoła Muzyczna 1).

Studenti zagraniczni są w głównej mierze stypendystami bądź własnych krajów, bądź Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów PRL, Międzynarodowego Związku Studentów i innych instytucji (Związki Zawodowe, Polonie). Jest też kilku, którzy sami opłacają koszty pobytu i studiów w Polsce.

Gościmy w Łodzi przedstawicieli 42 krajów ze wszystkich niemal kontynentów. Obok dużych liczebnie grup narodowościowych (Wietnam 27 osób, Sudan 21, Nigeria 17, Syria 15, Kuba 14, Etiopia 12) są niewielkie grupy lub pojedynczy przedstawiciele różnych narodowości (Cypr i Gujana Brytyjska 5, Irak, Kongo, Tanganika — 4, Boliwia, Gwinea, Haiti, Nepal, Wenezuela, USA — 3, Meksyk, Portugalia — 2, Algieria, Brazylia, Cejlon, ChRL, Francja, Finlandia, Japonia, Jamajka, Maroko, Uganda — 1).

Ta wielonarodowościowa grupa ujęta jest w ramy organizacyjne Związku Studentów Zagranicznych, którego prezydentem jest Cypryjczyk Stawru Soteris. Organizacja ta wraz z Komisją Zagraniczną przy Radzie Okręgowej ZSP czuwa nad wszystkimi sprawami studentów zagranicznych począwszy od organizacji obchodów świąt narodowych, a skończywszy na organizacji rozrywki, wypoczynku i wczasów.

Są wśród nas, mieszkają w Polsce po kilka lat. Poznają przez ten czas nasz kraj, społeczeństwo, nawiązują wiele kontaktów i przyjaźni. Ale poza niewielkimi kręgami pozostają właściwie nieznanymi.

PIERRE BARRÒS

ANGOLA, STUDENT I ROKU PEDAGOGIKI UL, STYPENDYSTA ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH.

Jest jednym z dwóch Angolczyków, studiujących aktualnie w Polsce. Kilku-nastu jego kolegów wyjechało niedawno z naszego kraju po ukończeniu kursów pilotażu w Krośnie. Po ukończeniu szkoły w Leopoldville zdecydował się na studia pedagogiczne chcąc następnie pracować z młodzieżą. Pomimo stosunkowo niezłego już opanowania języka polskiego, ma spore trudności w nauce wynikające z nieznaności terminologii. Korzysta z pomocy polskich kolegów i sporo im — jak stwierdza — zawdzięcza. Kontakty z Polakami nie ograniczają się zresztą do korzystania z pomocy w nauce, zawarł tu już przyjaźni. Okres świąteczny spędza w Bytomiu u rodziny przyjaciela, studenta. Zajmuje się przede wszystkim nauką i jej poświęca większą część czasu. Mimo to stara się swoich sąsiadów-studentów zaznajamiać ze swoim krajem, jego kulturą i obyczajami. Mówi — z pewnym żalem i goryczą — o reakcjach łodzian na widok obcokrajowca, o uwagach i komentarzach jakie zdarza mu się słyszeć. „Byłem z kolegami w przedszkolu. Tam dziecko, trzy albo cztery lata, dotykało mnie, i patrzyło później, czy ma brudny palec. To nie było nic dziwnego, ja rozumiem dziecko”.

Nie rozumie zaś dorosłych, dla których widok Murzyna jest sensacją i nieraz powodem do zbiegowiska. Uważa, że ten przykry stan rzeczy wynika ze zbyt rzadkich kontaktów studentów zagranicznych z mieszkańcami Łodzi.

M. SALACH

IRAK, STUDENT IV ROKU WYDZIAŁU EKONOMICZNEGO UL, STYPENDYSTA RZĄDU IRACKIEGO.

„Jestem w Polsce prawie pięć lat. Nie mam już takich trudności językowych, mogę się mniej uczyć. Uważam, że jestem tutaj nie tylko po to, aby się uczyć. Muszę też poznać Polskę jako kraj i poznać jej mieszkańców. Rozmawiam często z różnymi ludźmi, nie tylko ze studentami.

ENRIQUE FERNANDEZ

KUBA, SŁUCHACZ STUDIUM, STYPENDYSTA RZĄDU KUBAŃSKIEGO.

Przed wyjazdem do Polski studiował na Wydziale Mechanicznym Uniwersytetu w Las Villas. Był członkiem Union de Jovenes Communistas. Wylądował w Gdyni 20 sierpnia po długotrwałej podróży morskiej radzieckim statkiem „Bajkał” wraz z około 200 kolegami mającymi rozpocząć studia w krajach demokracji ludowej. Po ukończeniu Studium Języka Polskiego ma zamiar studiować budowę okrętów na Politechnice Gdańskiej. Wybrał Polskę jako miejsce swoich studiów, ponieważ kraj nasz cieszy się na Kubie opinią kraju posiadającego szeroko rozwinięty przemysł okrętowy. Był jednak jeszcze jeden powód. Dla Enrique Fernandezy Polska jest krajem szczególnie bliskim ze względu na analogie, jakie widzi w historii i dziejach współczesnych obu państw.

JÓZEF KOZENDRA

KIEROWNIK VI DOMU STUDENCKIEGO UL.

„Obiegowa opinia łódzkiego społeczeństwa — z którą się często spotykam — opinia mało pozytywna — jest w wielkiej mierze nieuzasadniona. Wynika ona przede wszystkim z tego, że nie zawsze nas stać na tolerancję natury obyczajowej. Razi nas często styl życia studentów zagranicznych, zupełnie inny od polskiego. Ale przecież po krótkim czasie ci studenci przestają się wyróżniać, przejmują nasz styl życia i dostosowują się do naszych norm obyczajowych. Trzeba również wiedzieć i pamiętać, że ci ludzie przyjeżdżają tu do nas z różnych kontynentów i krajów, różnią się temperamentem, wychodzą z różnych cywilizacji — od tych wysoko zorganizowanych, do bardzo nieraz prostych. Pracują z nimi od otwarcia tego Domu Studenckiego i mogę stwierdzić, jak poważne są te wszystkie różnice i jak wobec tego jest trudno przystosować się do zupełnie nowych warunków życia.

BOLESŁAW WÓJTOWICZ

STUDENT III ROKU ETNOGRAFII UL.

„O problemach asymilacji studentów zagranicznych w Polsce nie można mówić bez uwzględnienia podziału narodowościowych. Każda grupa narodowościowa, czuje się u nas inaczej i inaczej się „przyjmuje” na polskim gruncie. Dla przykładu: studenci z Indonezji odznaczają się dużą swobodą, uprzejmością, są bardzo obcy i czują się w Polsce zupełnie pewnie. Przyjeżdżają do Polski, aby

studiować, ale studia traktują też jako rodzaj rekonesansu — obserwują, porównują, zestawiają Wschód i Zachód. Interesują się żywo polską kulturą, ale odbierają ją trochę na wzór amerykańskich turystów. Studentów afrykańskich również należałoby podzielić na kilka grup. Są tacy, którzy stanowią coś w rodzaju emigracji politycznej. Ci są niepewni swoich losów, bardzo uważnie śledzą przemiany w swoim kraju i w związku z tym mniej się interesują sprawami polskimi. Studenci z Ghany często podkreślają rolę swojego kraju w Afryce i na świecie, są przeświadczeni o własnej ważności itd. itd. Zresztą w różnych latach przyjeżdżają nawet z tych samych państw zupełnie inni ludzie. Kubańczy na przykład w tym roku stanowią grupę ludzi bardzo młodych, pogodnych i tolerancyjnych; różnią się od zeszłorocznych, którzy przypominali jeszcze świeżo zdemobilizowanych żołnierzy. Dla dobrego samopoczucia studentów zagranicznych ważne jest, moim zdaniem to, że nikt ich w Polsce nie agituje, na co są nieraz z góry nastawieni. Pozwala im się po prostu obserwować życie naszego kraju.

Mimo wielu poważnych różnic wszyscy oni zasługują moim zdaniem na zainteresowanie naszego społeczeństwa, na koleżeńskie, przyjazne stosunki”.

Mgr EDMUND PRZEŹDZIECKI

DYREKTOR STUDIUM JĘZYKA POLSKIEGO.

„Trzeba stwierdzić, że zbyt mało propagujemy za granicą możliwości studiów w Polsce — myślę o propagandzie w sensie obiektywnego stwierdzenia warunków studiów. Młodzież zagraniczna szuka u nas możliwości studiów technicznych i medycznych. Wynika to z pewnego zafascynowania niektórymi krajami Afryki i Azji. Ale — i to nas szczególnie cieszy — można mówić o sympatii dla studiów humanistycznych w Polsce. Takie kierunki jak psychologia czy socjologia studiuje około 30 osób. Dwie osoby (Amerykanka i Finka) studiuje nawet filologię polską.

Wygodny i korzystny bardzo z jednej strony fakt, że młodzież nasza może żyć nie wychodząc poza budynek przy ul. Kopcińskiego, (ma tu wszystkie od sal wykładowych do pokoi mieszkalnych, sali kinowej i jadalni) — z drugiej strony jest czymś w rodzaju szklanego klosza. Staramy się ten klosz rozbić przez wycieczki, kontakty rodzinne, przez osobiste oddziaływanie wychowawców, przez stałą działalność ZSP.

Ze względu na fakt, że przyjeżdżają do nas bardzo różni ludzie, najtrudniejszy jest zawsze okres wstępny, okres cementowania zespołu ogólnostudenckiego. Później adaptacja następuje dość szybko, o czym świadczy liczne przyjaźnie, a nawet małżeństwa, które młodzież zagraniczna zawiera w Polsce.

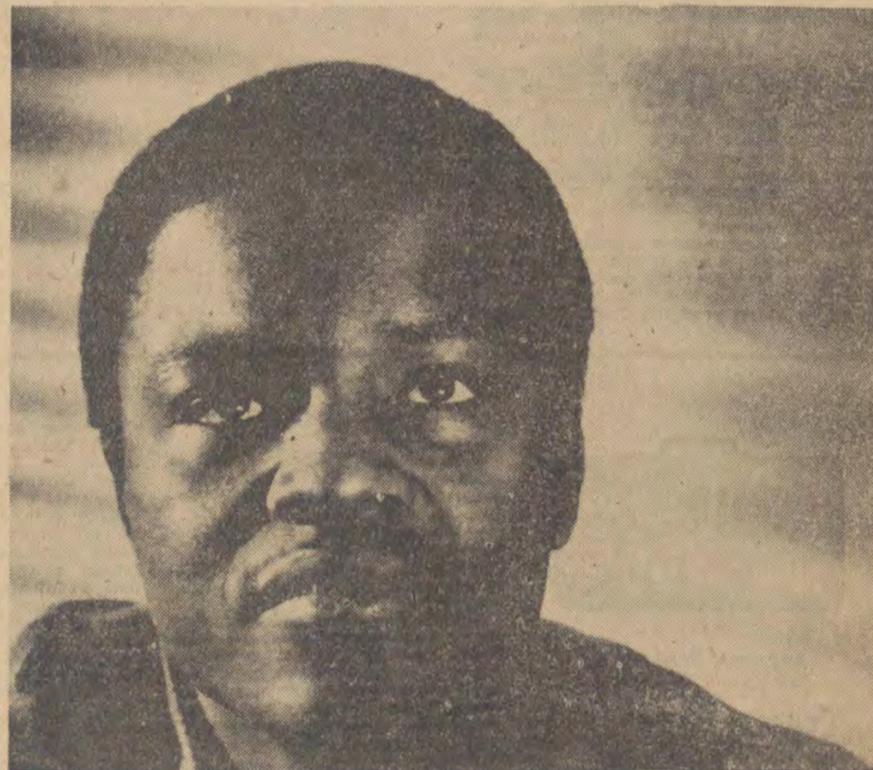
Jest zasadą — bo wyjątki są nieliczne — że nasi wychowankowie po powrocie do swoich krajów utrzymują stały kontakt z naszym Studium, zawsze kierując wiele wyrazów serdecznej wdzięczności pod naszym adresem”.

z przedstawicielami różnych środowisk — w czasie pobytu w Łodzi i w czasie wyjazdów wakacyjnych. Interesuje się polską kulturą. Często chodzi do teatru, lubię sztuki społeczno-historyczne. Z literatury polskiej najbardziej mi się podoba Sienkiewicz, bo jego styl jest prosty. Myślę, że współczesnej polskiej literatury nie rozumieją często nie tylko cudzoziemcy, ale i Polacy. Chodzę też często do kina i znam wiele polskich filmów. „Ludzie z pociągu”, „Fasazerka”, „Matka Joanna od Aniołów” — te filmy podobały mi się najbardziej. Zauważyłem, że Polacy nie lubią chodzić na polskie filmy. Wolą oglądać amerykańskie albo francuskie, bo chcą się rozzerwać. Myślę, że to nie jest dobre.

J. LÜDNER

AMERYKA LACIŃSKA, STUDENT III ROKU MEDYCYN, STYPENDYSTA KERM.

„Najpierw studiowałem prawo w kraju, potem chciałem się przenieść na medycynę, bo u nas jest więcej adwokatów niż lekarzy. Mój kraj jest dla Polaków krajem egzotycznym, ale dla mnie Polska nie była krajem egzotycznym. Jeszcze kiedy byłem w domu znałem Polskę, bo czytałem wiele książek. Ja nie przyjechałem tutaj za pozwoleniem swojego rządu, podawałem, że jadę do Francji. Różnice w warunkach studiów są duże, w Polsce są dużo lepsze. W moim kraju bardzo trudno jest dostać się na studia. Często dostają się na studia ci, którzy nie zdali egzaminów wstępnych, bo ich rodzice mają znajomości. Stypendystów jest u nas bardzo mało, tylko 1 proc. Otrzymują nieraz stypendia ci, którzy ich nie potrzebują, a ci, co potrzebują, nie dostają. Ja na przykład nie miałem, choć mi było potrzebne. Stypendyści są u nas jakby policjantami — muszą pilnować swoich kolegów. W Polsce jest mi dobrze, mamy tu dobre warunki pracy i życia. Ale prawie wszyscy jesteśmy tutaj jak w innym świecie. Na przykład teraz są święta. W moim kraju świętuje się od 22 grudnia do 6 stycznia. Przez ten czas ludzie bez przerwy bawią się i świętują, ale inaczej niż w Polsce, na ulicach, na dansingach. Tutaj są inne obyczaje, do których trudno przywyknąć. Dlatego czasami wolimy być sami”.





„Casino”, gdzie na ekranie komedia „Zaczęło się w pociągu”, a na scenie ulubienicy publiczności łódzkiej i wszystko punktualnie z wybieciem dwunastej. Ale jednocześnie kino „Europa” reklamuje się niemal podług tej samej redakcji tekstu, z tą oczywiście modyfikacją, że na ekranie „Życie ulicy”, a na scenie ci sami ulubienicy plus, że początek punktualnie o godz. 12.20.

Rzecz charakterystyczna, im dalej od początku niepodległości, od r. 1918, tym mniej łązwo patriotycznych akcentów w łódzkich Sylwestrach. Rok 1924 przychodzi pod znakiem tyfusu i kryzysu mieszkaniowego w mieście. Magistrat znalazł się w przededniu bankructwa, gdyż w kasach zabrakło pieniędzy dla urzędników.

ILUSTROWANY WIECZORNY⁴ oznajmia, że na jego czytelników czeka 200 bezpłatnych premii noworocznych, na które złoży się 700 korcy węgla, 1500 kilo mąki, 1032 kilo cukru. Jest to już nutka głodu, a na dodatek miasto oparowała spekulacja tytoniowa, która może pociągnąć za sobą ogólną zwyżkę cen innych artykułów. Jakże nieprzekonywująco brzmi silenie się na wesołość p. Englera, któremu przedłużono jednak koncesję, że obok innych niespodzianek czeka bywalców „Teatralnej” kolacja z 8 dań za 100 zł.

Taka sceneria łódzkich Sylwestrów trwa długie lata. Zwłaszcza początek lat trzydziestych jest bardzo wymowny. Słabo wypadł wieczór u Gierasa, jak się protekcjonalnie reklamuje kierownik ze-

ców. Związek Handlowców Polskich przez kilka lat z rządu organizuje wieczory Sylwestrowe, z których dochód przeznaczony jest na pomoc materialną dla kolegów bez pracy.

Nie brak oczywiście i tego, co dziś nazywamy przejawami chuligaństwa. Oto jacyś młodzieńcy



WIECZORY SYLWESTROWSKIE

Pewien felietonista łódzki z lat trzydziestych stawia sobie pytanie: za co spędzimy Sylwestra? I od razu, demonstrując pusty portfel, odpowiada, że za karę. Jest to próbka humoru z tych lat, gdy ostatni wieczór roku chętniej znano Sylwestrowskim niż Sylwestrowym. Za starym dowcipem kryją się określone treści społeczne: ostatni wieczór roku jest bowiem nie tylko okazją do składania życzeń na prawo i lewo, nie tylko chwilą pośpiesznego bilansowania całorocznych pragnień, ale już właśnie w społecznym wymiarze odbiciem panujących w społeczeństwie nastrojów.

Prasa łódzka z 1918 r. zamieszcza ogromne ogłoszenia o balach sylwestrowych: reklamowym gwóźdź „Savoyu” są „dwa bilardy na miejscu”, a w rok później drobniągowe wyliczenie, że lokal będzie dysponował w ten wieczór restauracją, dwiema salami, dwoma bufetami i dwiema orkiestrami. Nie brak w tych anonsach sformułowań, które rzucają snop światła na sprawy ogólniejsze. Wystarczy sięgnąć po przykład Stowarzyszenia Komwojajzerów, które w Salach Redutowych Teatru Wielkiego urządza maskaradę, przeznaczając 10% dochodu „na ciepłą odzież dla żołnierza polskiego”. Ale wieczory sylwestrowe pierwszych lat niepodległości są przepojone nutką nie tylko łązwo patriotyczną. Przejazd przez Łódź Ignacego Paderewskiego, podrywa władze miejskie do wnoszenia okrzyków na rzecz mistrza, ojczyzny i Anglików. W tym samym dniu 1. I. 1919 r. KPP zorganizowała w fabryce Grohmana wiec w sprawie zajęć w Zagłębiu Węglowym i w Warszawie, gdzie wojsko strzelało do demonstrujących tłumów. Na wiec stawiło się przeszło 4 tys. osób i mimo rozbijackiej roboty innych ugrupowań politycznych o 5.15

wieczorem część zgromadzonych udała się w pochodzie Piotrkowską aż do Nowego Rynku, śpiewając rewolucyjne pieśni zamiast koled.

Pojawia się i nowa forma spędzania wieczoru sylwestrowego w kinach. 1. I. 1920 r. odbywa się w „Casinie” premiera „Hrabiny Rondoli” z Polą Negri, co daje właścicielowi kina okazję do takiego chwytu reklamowego:

„Szanowni Państwo! Jeśli wola, Sluchajcie, co Wam powie, Pola: Dotychczas grałam tylko liczne Poważne rzeczy dramatyczne. Lecz dzisiaj, pierwszy raz, Chcę oto bawić Was! Niech śmiech rozebrzmi ochoczy, Aż łąz zaleją Wam oczy!”

Ten stosunkowo tani sposób spędzania ostatniego wieczoru roku, przyjmuje się i oto wg. zapewnienia anonimowego autora tekstu, najweselsiej można powitać Nowy Rok w tym samym kinie

Ale nie jest to bynajmniej najdramatyczniejszy Sylwester.

Wprawdzie zabrakło maskarad na ulicach Łodzi, w które obfitowały lata wcześniejsze, nie było już ani Indianki, ani pierrota u boku maharadży, ani haremowej bursy. O tym kroniki milczą. Mimo to łódzianie wydali w ciągu jednej nocy ok. 400 mld. marek, a u niektórych przemysłowców składka na wieczorek sylwestrowy wynosiła 50 dolarów. Prócz urzędników magistratu powód do niezadowolnienia miał i p. Engler, właściciel uczęszczanej restauracji „Teatralna”, któremu władze nie przedłużyły koncesji na rok następny. Prawdziwie smutny Sylwester nadchodził dopiero 12 miesięcy później. Nawet pogoda dostroiła się do dramaturgii wydarzenia. Łódź tonęła w kałużach błota. W całym mieście zaryzykowano organizację tylko jednej maskarady, która mimo to splajtowała. Nie ona jedna, splajtowały również przedsiębiorstwa przemysłowe. W rok później „EXPRESS

spółu komików Romuald Gierasziński, organizator programu „A „Bomba” się śmieje”. I nie podobna mi się to przeciwstawienie „A”, które może w intencjach Gierasa miało być przeciwwagą zdarzeń, o których napomyka prasa tamtego czasu. Nie brak osłabień z głodu. Nie brak również samobójstw z nędzy, na które decydowano się właśnie na przełomie starego i nowego roku. W tym 1932 (3 zamachy samobójcze bezrobotnych w noc Sylwestrową) wzruszył mnie niejaki Lajbus Ungier, który na ręce wojewody łódzkiego złożył prezent noworoczny dla p. Marszałka. Była to specjalna, ręcznie zrobiona karta wielkości pocztówki z pełnym tekstem Konstytucji 3-Maja. Co naprawdę miał na myśli Lajbus Ungier? W latach trzydziestych zjawia się nowa forma nie tyle może spędzania Sylwestra, co składania noworocznych życzeń. Gazety pełne są apeli o pomoc dla bezrobotnych zamiast życzeń noworocznych i publikują długie listy ofiarodaw-

porwali autem należącym do przemysłowca, trzy ulicznicy i ścigani przez policję, która podejrzewała w nich handlarzy żywym towarem ranek nowego roku spędzili na przesłuchaniu. Są to jednak wyjątkowe akcenty beztroski.

Natomiast do tradycji łódzkiego Sylwestra lat trzydziestych weszło przemówienie radiowe prezydenta miasta, w którym apelował o niesienie pomocy zimowej dla biedoty. Były to lata 30 tys. zarejestrowanych bezrobotnych wg danych oficjalnych statystyk i słów samego prezydenta miasta.

A ilu było niezarejestrowanych? Ilu było takich, którzy spędzili Sylwestra na próżno oczekując zmiany na lepsze? Zegar na Placu Wolności o północy z 31 grudnia na 1 stycznia wybijał ten sam sygnał niepokoju i lęku o jutro.

JERZY DARNAL



Nad sztambuchem „szarego odbiorcy”

Obok katalogów wystawy i bloczku z biletami, leżą zwykle, szkolne zeszyty, czasem ktoś zerknie do środka, czasem ktoś napisze parę słów. Tak rośnie brulion opinii na temat współczesnego malarstwa wypowiadanych przez tzw. szarego odbiorcę.

Zazwyczaj zaczyna się od pochwał, zwykle kreślonych ręką pedagogów „pilotujących” szkolne wycieczki: „Grupa Filologii Rosyjskiej II SN zwiedziła wystawę, która wywarła duże wrażenie”.

Czasem uwagi są bardziej lapidarne: „Obrazy są ładne”, lub w stylu cesarowego „veni, vidi, vici”.

„Zwiedziłem i odszedłem”. Często wśród autorów uwag znajdują się fachowcy. „Drzewa powinny być trochę nary-

sowane jaśniejszą farbą, zielone, ale o ile chodziło pani K. o porę jesienią roku, to może jest dobrze narysowane”.

Są również zwiedzający, których w obrazach frapuje co innego.

„Czy na obrazie „Muzykowanie” skrzypek trzyma faktycznie skrzypce w prawej ręce, co jest sprzeczne z muzykowaniem?”

„Odnośnie „Wyjazdu z portu” (tytuł obrazu) powinno być „Wyjście z portu” — dlatego, że statki zawsze wychodzą lub przychodzą do portu w odróżnieniu od np. pociągu, który wyjeżdża”.

Nieraz trafi się sceptyk, który napisze: „Jeśli to jest ręczna robota, to świadczy o dużej miłości do zieleni i ciała kobiecego”. Albo entuzjasta: „Artyście za jego pracę staropolskie ura! ura! ura!”.

Bywają i polemiki nie przebiegające w śródkałach: „Brak własnego wyrazu. Mnóstwo zapożyczeń”.

Niżej student WSP napisze: „Poprzednik okazał się laikiem. Proszę się nie przejmować wypisywanymi bzdurami”.

Niżej czytamy: „Student WSP dostał się na uczelnę przypadkowo”.

a dalej: „Odnosiłem wrażenie, że malarz ma zbyt dużo wyobraźni o ciele ludzkim”.

I wreszcie mocna pointa polemiki: „Kretynie, szkoda że ty jej nie masz”.

Czasem uwagi bywają dość enigmatyczne. Na przykład: „Ładne. Prace nie podobały mi się”. Niestety, nie wiemy co wobec tego

było ładne. Bywają i takie uwagi pod adresem malarza:

„Idź się pan utop póki woda nie zamarza”.

I pod adresem autora powyższej propozycji:

„Idź się pan powieś póki sznurek...”

„dalej piszącemu zabrakło widać konceptu”.

Przeważnie uwagi są dość zwięzłe, ale czasem zdarzają się i dłuższe epistoly:

„Nie zamierzam absolutnie robić uwag na temat wystawy. Irytuje mnie uwagi gryzliwiorów w rodzaju „zrob pan to albo tamto”.

Gdybym chciał szczerze powiedzieć co myśle musiałbym bardzo brzydko się wyrazić”.

— pisze pewien anonim i oczywiście przez półtorę strony sztambucha bardzo brzydko się wyraża. Niestety, nieczuwanie.

Są jeszcze w sztambuchu tajemnicze opinie — szkoda, że nie dość rozwinięte. Jest na przykład słowo „wystawa”... Nie wiemy co piszący chciał o wystawie powiedzieć, i co mu w tym zbożnym dziele przeszkodziło. Jest słowo „idź”... ale nie wiemy kto i gdzie według piszącego miał pójść.

Są także interesujące propozycje poci nadobnej pod adresem artystów:

„Bądź tak dobry i przyjeźdź do nas do P., ul. Kościuszki 29”.

lub „Prosimy o przyjazd do Ł. lub porozumienie się telefonicznie. Ł., ul. Kościuszki 13, tel. 13...”

I tak dalej, i tak dalej. Obok propozycji odwiedzin, propozycja innego rodzaju. Obok zachwyty — oburzenie, obok pochwały — nagana. Zniszczony, zapisany do ostatniej strony sztambuch — nie ustająca dyskusja o współczesnym malarstwie.

KOLOROWE PUDEŁECZKO

dalszy ciąg ze str. 1

roku. Nie namyślając się, bez żalu opuściła swoje miejsce w Birovcu. Żyje przy nim od tamtej chwili, nie pytając, czy jest żoną, nalożnicą czy służącą. Nie ma to dla niej znaczenia. Nie interesuje to specjalnie nawet samego inspektora szkolnego. Żyją oszczędnie z jednej pensji. Ich dwoje i pustkowie. I zazdrość.

Podnieca go jej pokorne poddanie, które nie jest jednak poddaniem ostatecznym. I dlatego szuka, szuka i stara się znaleźć w niej pełnię szczęścia i całkowite zaspokojenie. Lecz ani pełni szczęścia ani całkowitego zaspokojenia, żadnym sposobem znaleźć nie może. I stąd ta zazdrość. I w poszukiwaniu tego, co ostateczne, w poszukiwaniu aż do dna, w czym jedynie znaleźć można wyzwolenie z poddańczej zależności — nazywa ją dziwką. W czasie głuchych, medwidziańskich wieczorów, w zimowej pustce o późnej godzinie bez świtu, powtarza jej to słowo setki razy. A ona przyjmuje je w pokorze, bez protestu, jak gdyby w pragnieniu pokuty i odkupienia. Ale i to nie przynosi ulgi. „Dziwko, zamknę cię gdzieś albo zamuruję, abys słowca ani księżycza zobaczyć nie mogła...” szepcze jej wśród gorzkich pieszczot poprzez zaciśnięte zę-

sób winną. Uznaje jej daremne starania, wie, że nie jest dziwką — coś z tego, jeśli jej to setki razy mówi.

Bezkrzesna, biała równina, odludzie i ciche skrzypnięcie zasuwki w zlodowaciałym powietrzu. To ona wybiegła na chwilę na podwórze, by zamknąć kury i ponownie wróciła do kuchni. Wziął ze stołu i zapalił brunatną „Drave”, po czym stanął w oknie i zapatrzył się w jednostajną przestrzeń z czerniejącymi plamami wystających spod śniegu grabowych pni i świerków. Kobieta od czasu do czasu spogląda w kuchenne okno aż do chwili, w której oczom jej ukaże się na białej pochyłości za domem, drobny kształt chuderławej Marty, przemykającej wzdłuż krawędzi, zgarbionej i zgiętej w palak siłą nawyku pod brzemieniem drzewa, podobnej do biedronki. Ocknęli się. Dwa lub trzy razy w tygodniu stara Marta przynosiła im z drugiego krańca wsi kajmak i jajka. W czwartki, w dni targowe, chodziła do odległego o przeszło dwadzieścia kilometrów miasteczka, dźwigając na plecach wiązkę drewna na sprzedaż i po drodze kupowała nauczycielowi, to co jej zlecił. Bo nauczyciel nie schodził do miasteczka przez przekorę i sobie tylko władowy upór, na znak niezrozumiałego odszczerpienia, nieraz i przez dwa, trzy miesiace.

I kobieta też nie zachodziła od czasu przeniesienia się do niego do Medwidzi. Wczoraj długo szeptały z Martą w pustej izdebce, w suterenie. Marta słuchała pilnie, starając się zrozumieć i wbić w pamięć i kiwała głową jak gdyby sama się egzaminując.

— Dostaniesz to w tym dużym sklepie u Maksyma Batoryca, no, w rynku na rogu. Znasz przecie Maksyma...

— Znam go, biedaczko, znam! Jakżeby mi go znać nie miała — zapewniała Marta, nie rozumiejąc jednak danego jej polecenia.

— Powiesz, że to dla nauczycielki. I zapłacisz, ile tam wyniesie. I nie zapomnij powiedzieć, żeby był taki, jak kupowała dawniej nauczycielka z Birovca. To jakby takie maleńkie mydelko, o tycie, w okrągłym pudełeczku. Zaczekaj chwilę, to ci zaraz pokażę!

Wbiegła na górę do pokoju i przyniosła puste pudełeczko po lekarstwie.

— O, to takie pudełeczko, tylko, że mniejsze, kolorowe, w kwiatki. A jak otworzysz, to w środku okrągła tafelka różu. Maksym będzie wiedział, tylko mowiesz, że to dla byłej nauczycielki z Birovca.

Teraz kobieta przyglądała się powolnemu zbliżaniu zgarbionej biedronki po śnieżnym dywanie. Bezszelestnie wyszła przed dom na jej spotkanie i wprowadzi-

ła ją do pustej izdebki w suterenie. Zaszepotały. Marta wyciągnęła spod chusty kolorowe pudełeczko. Kobieta rozpromieniła się.

— Ledwie mi je dostała, córuś! — wyolbrzymiała swoją przysługę Marta.

— Andzielka! — krzyknął ostro z góry gromki głos spoza ogołoconych wiązań stropu, z których poodpadał tynk. — Z kim tam szepczesz?

— Z Martą, z Martą! — sploszyła się kobieta. — Zaraz idę.

Ukryła pudełeczko głęboko, w kieszeni wysmarowanej kurtki, odprawiła staruszkę i wbiegła na schody. Zatrzymała się przez chwilę w kuchni, poprzestawiała niedbale naczynia, a widząc, że mężczyzna nie wzywa jej do siebie, wymknęła się do ostatniego pokoju, w którym przechowywano zapasy i gdzie wisiał na ścianie skrawek rozbitego lustra.

— Andzielka! — zawołał ponownie mężczyzna z podejrzeniem w głosie.

Wyszła mu naprzeciw, niepewna. Popatrzał na nią badawczo. Po czym wyciągnął środkowy palec prawej ręki, jak gdyby w stronę martwego przedmiotu, przesunął jej po twarzy, obejrzał, wytarł o brzeg obrusa i dostrzegł na nim ślad różu.

— Dziwko! — syknął przez zęby i zamachnął się. Skuliła się w sobie przerażona i podniosła zgięty łokieć, chcąc zasłonić twarz. Dwa tepe razy spadły na policzki, wywołując drżenie białawych rzęs.

— Dziwko!...

Dopadł ją z tyłu i potrząsnął.

— Wybiję ci z głowy to wszystko, rozumiesz, wszystko!

Podkreślił to słowo, pragnąc nadać mu sens. Z kieszeni wysunęło się kolorowe pudełeczko. Z satysfakcją rozgniół je buciorem. Na podłodze pozostała zgnieciona tafelka różu.

Potrząsnął nią, jak młodym drzewkiem, z którego strąca się jabłka. Niezdarna, w podkutybutach i grubych domowych skarpetach, w których nogi wydawały się bezkształtne jak dwie kłody, chyliła się na wszystkie strony w jakimś rozklekotanym, drewnianym tańcu wokół niego. Chwylił ją za przeguby rąk i wyczuł pod palcami miękkie podatne mięso, które znał tak dobrze, że poprzez grubą wełnę uświadomił sobie biel rzeźbionych kształtów ukrytych obłudnie pod warstwą odzienia. To dotknięcie obudziło w nim nagłą żądzę i nagłą wściekłość z powodu ulegania tej żądzę. Raz jeszcze uderzył ją w twarz i odepchnął od siebie.

— Precz!

Przypalił nową „Drave” i znowu stanął przy oknie. Wpatrzył się zaciekle w

☆
Vladan Desnica, pisarz chorwacki urodzony w Zadarze nad Adriatykiem (17. IX. 1905 r.) z zawodu prawnik, jest jednym z najpopularniejszych prozaików jugosłowiańskich. Tworząc już przed wojną, sukces osiąga dopiero w latach powojennych. Jego powieść „Wakacje zimowe” (wyd. w 1950 r.) stała się wydarzeniem literackim tamtego okresu. Desnica dał się w niej poznać jako wnikliwy psycholog, umiejętnie ukazujący złożoność ludzkiej psychiki, na tle drastycznych scen małżeńskich w sposób chłodny i zobiektywizowany. Jednakże po „Rozbitkach w słońcu” („Olupine na suncu”) i „Wiosnach w Badrovcu” („Proljeća u Badrovcu”), stanowiących wszechstronne portrety zagubionych istnień, i późniejszych nowelach, Desnica wstąpił w drugą fazę swojej twórczości, zrywając z dawnym sposobem budowania fabuły i konkretnością opisywanych zjawisk i rozwijając intelektualną koncepcję powieści. W tym stylu napisana została powieść „Młode lata Ivana Galeba” („Proljeća Ivana Galeba”), która jest raczej zbeletrowanym esejem niż powieścią w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Pisarstwo Vladana Desnicy jest dziełem psychologa, a nade wszystko poety a jego talent rozwinął się w oparciu o bogactwo doświadczeń, wszechstronną kulturę, przenikliwość obserwacji i logikę zapisu. W opowiadaniach swoich podjął ważki dla jugosłowiańskiej problematyki literackiej temat prowincji. Opowiadanie „Kolorowe pudełeczko” wyjęte jest z tomu opowiadań „Tuż obok nas” wydanego w Belgradzie w 1956 roku.

K. K.



by, akcentując jak dziesięćogłoskowiec.

A ona i na to zezwała i skwapliwie, prawie z radością odpowiada: „Zamknij mnie, zamknij...” I tym razem na próżno! Chciałby z niej zdjąć hańbę tego przekleństwa, jakim jest pleć, zetrzeć wszelki jej ślad i „zabić” to wszystko, co ma w sobie kobiecego”. Pragnąłby zniszczyć i wytrzebić w niej to, czego zniszczyć i wytrzebić do końca się nie da, gdyż to równoznaczne jest z jej istnieniem i czemu sążone jest trwać tak długo jak i samemu życiu. A że ona chętnie uczestniczy w tym dążeniu do unicestwienia jej samej i jak gdyby sama pragnęła przyłożyć się do tego i w czymś pomóc, więc i to na nie! Może niekiedy i zdaje sobie sprawę, że w niczym mu nie zawiniła (nie zawiniła a jednak jest na swój spo-

CHUDA i CHUDY

Przez ten parkan zrywałam dzikie poziomki, bardzo słodkie i bardzo duże. Kiedy byłam zupełnie mała, mama pokazała mi sposób nawlekania poziomek na trawkę. Oczywiście, to musiała być specjalna, sucha trawka, taka z jakiej można zrobić zabawę „kogut czy kura?”. Bierze się wtedy trawkę z pióropuszem delikatnych nasionek, ścisła dwoma palcami jej łodyżkę, przeciąga i jeśli zostaje w palcach miotłka z nasion z takim ogonem to wyszedł kogut, jeżeli tylko krótka równa szczoteczka — to kura. Na taką właśnie trawkę nauczyła mnie mama nawlekać poziomki. Te za parkanem były własnością Chudych. Kiedyś dawno, jeszcze przed wojną, musiały tam rosnać truskawki, ale potem nikt ich nie pielęgnował i przerodziły się w poziomki. U Chudych kupowaliśmy mleko. Bardzo lubiłam brać u nich mleko i przechodzić koło parkanu, ale bałam się, że jeśli Chuda albo Chudy zobaczą mnie, od razu doliczą poziomki do rachunku za mleko, starałam się zrywać je jak najdyskretniej. Najczęściej siadałam pod parkanem udając, że wygrzebuję z ziemi kamyki i cały czas

w tej pozycji, przesuwałam się coraz bliżej do wejścia na ich podwórko.

U Chudych miałam na ścianie swój kalendarz. Mama płaciła im z góry za jakąś określoną ilość mleka, a ja przy każdym litrze stawiałam na ścianie kreskę. Moje zadanie polegało głównie na tym, żeby pilnować, czy w kalendarzu nie pojawiają się kreski stawiane innym charakterem pisma. Chudzi byli jednak uczciwi, przekonałam się o tym bardzo szybko. Kreski były tyle, ile należy, to znaczy tyle ile ja ich nakreśliłam. Uczciwość Chudej przejawiała się jeszcze w tym, że kiedy przelewała mleko z glinianego gara do półlitrowej, blaszanej miarki i potem z wypełnionej po brzegi miarki do naszego dzbanka, ani jedna kropla nie spadała na ziemię. A Chuda była przecież już stara i trzęsły się jej ręce. Nie tak uczciwy był Chudy. Często zdarzało mu się rozlać trochę mleka. Kombinował wtedy, dolewał dodatkowe chlusty, ale wszystko to było podejrzane i niezręczne.

U Chudych zamieszkał jakiś mężczyzna. Mówili na niego artysta. Miał na nazwisko Bohusz i mama powiedziała, że to

jest bardzo szlacheckie nazwisko. W kuchni Chudych, obok mojego kalendarza pojawił się dyplom, mocno zniszczony, ale w ramce i pod szkłem, a na dyplomie wymalowani byli ludzie w krótkich spodniach i podkolanówkach zawiniętych u góry w szeroki mankiet. Pod ludźmi była piłka, a wszystko niebieskie i cieniowane. Na dyplomie wypisane było nazwisko Bohusza i coś jeszcze. To był bardzo stary dyplom i wszyscy, którzy kupowali u Chudych mleko stawali przed ścianą na której wisiał i długo go oglądali.

debiut

Chudy i Bohusz często wracali pijani, a wracali przez nasz ogród, bo to była krótsza droga, niż ulicą. Nikt im nie mówił, aż do pewnego dnia, a właściwie nocy, kiedy Bohusz powyrwał sztachety z naszego ogrodzenia. Była awantura i postanowienie, że nie będą więcej przechodzić przez nasz ogród, ale następnej

nocy znowu tamtędy wracali i Bohusz na odmianną wszystkie sztachety z powrotem powbił do ziemi. Te nocne wędrówki z Chudym, Bohusz odpracowywał w dzień, kiedy Chuda była z krową na obrosniętym po bokach trawą, nasypie kolejowym, a Chudy robił coś w polu, bo mieli spory kawałek ziemi, albo naprawiał wiecznie zepsuty dach obory. Bohusz siedział przed domem, w szarym, oszlifowanym kamieniu wykuwał jakieś znaki. Dzięki tej jego pracy zrozumiałam, dlaczego mówią o nim artysta. Miał ostre dłutko i młotek. Dłutkiem żłobił głębokie rowki w kamieniu. To były litery. Ile razy przychodziłam po mleko, mogłam oglądać jego pracę. Najpierw pojawiło się „T”. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to litera. Myślałam, że to po prostu dwa prostopadłe odcinki, a nie początek napisu. Zorientowałam się dopiero przy „U”. Przy następnym litrze było „TU LE...”, a potem, kiedy skończyły się poziomki i po mleko chodziłam w butach, a nie na bosaka, było już „TU LEŻY PAULINA CHUDY”. Chuda była starsza od Chudego, Mała, skureczona, wyglądała bardzo biednie. Chudy za to był ogromny, barczysty, miał twarz czerwoną i całą w małych dziurkach.

A potem stało się tak, że raz Chudy i Bohusz pobili się sztachetami, tylko, że nie od naszego plotu, ale od jakiegś innego. Bohusz znikł, a Chudy chorował, chorował i na koniec umarł. Na grobie postawiła mu Chuda drewniany krzyż z pomalowaną na czarno blaszką, na której było napisane, że tu właśnie leży.

A kiedyś, jak poszłam do niej po mleko, zobaczyłam, że ten oszlifowany kamień z napisem „TU LEŻY PAULINA CHUDY”, stoi pod gankiem i że ma dopisane „I JAN CHUDY” i nawet data pod nim była, a pod „PAULINĄ CHUDY” było jeszcze trochę wolnego miejsca.

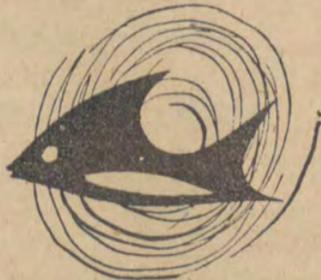
WSPÓŁCZESNA POEZJA JUGOSŁOWIAŃSKA

W PRZEKŁADACH STANISŁAWA KASZYŃSKIEGO

STEVAN RAIČKOVČ

Słyszę spod listowia swój ciemny głos

Przystaje; i szukam gdzieś w sobie jednoznacznego słowa, zupełnie, Co wydobywa się po prostu, podobny do twego oddechu, gdy śpisz, Mając coś niebiańskiego, odwija się niedostrzegalnie, łagodnie, Lekki szum traw i spokój kamienia. Przystaje i szukam słowa. A gdy je odnajdę To długo wstuchuję się w swój ciemny głos spod liści I widzę: Tylko słowa moje w powietrzu — i światłość. I gdzieś gubi się moje słowo. Nie wiem, gdzie tonie. Ginie, Gdyby je wiatr odniósł, w czyje serce, niech zaszumi jak liście miłości.



VESNA PARUN

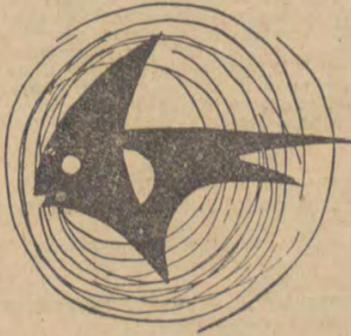
Przywidzenia

Trąby nocy słodkie trąby pamięci
Słowa z nieznanych głębin
Przeobrażonego kamienia:
Pasy ratunkowe rzucone
Wspaniałym ciepłom
Drżeliśmy bardzo gdyż ogrojec był tak
Gorzki a płomień ogniska
Przywoływał dawne lodzie

Przepuście ten płodny cień przez
Czarne dłonie miedziorytu
Ogrody na fiołkowych nasłonecznionych stromiznach
O przysiółki w odświętnych karocach
Winna latorośl o łagodnej nabrzmiewającej światłości

Ile utraciliśmy złudzeń ile trudu ponieśliśmy
Aby poznać tych co są wokół nas (wytrwaliś
Od nas w swojej roślinnej i ptasiej skromności)
Wiedzieli zawsze
Że życie składa się z lamliwych cząstek
Słońca, z których każdego dnia od nowa
Trzeba układać jedną, jedyną
Mozaikę

Za utraconą pewność majaków
Morze wspornik
Dawnym rybom



IVAN V. LALIĆ

Poranek zimowy

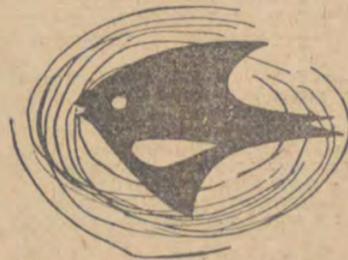
Zima pokryła śniegiem... itd.
Vojislav Ilić

Po śnie jak po bitwie,
Płomień brzasku inkrustowany igłami kryształu,
Wiatr w oknie, stężała żółta żyła termometru.

Atlas anatomiczny ogrodów pod śniegiem:
Niedostrzegalny krwotok możliwości, które przewiduje,
Ikra chlorofilu zmrożona w czasie,
Jakieś kwiaty po części z samogłosek a po części z mojej krwi,
Delikatny cień ptaka, błysk ptaka w ulewie —

Nad wszystkim górne ognie wybiła popiół,
Lodowate mleko i ranne gazety, a mewy
Z połamaną busolą w mgłę nad Patagonią,
Skrzydłata Anabaza w niewiadomym kierunku:

W sieci radaru ból głowy pod czołem,
Gdzieś daleko, przytrzymane morze: ruch Bliźniąt
W błękitnej wątrobie kipieli.



DRAGAN KOLUNDZIJA

Szloch

Przed kościółkiem w Dobrlinie przycupnęło nasze mateczysko
I błaga lekarzy niebieskich o zdrowie.
Nie pomaga słońce. Koniec,
W naszej chałupie nie ma rąk do pracy.
Bracia są po fabrykach, ciężka robota,
A siostry, i one odeszły, młode powychodziły za mąż,
Została tylko ona,
Wpółosiępla i spopieliała, nasze mateczysko —
Czego szuka przed kościółkiem w Dobrlinie,
Kogo przywołuje? Zwaliste rumowisko,
Obłoki ciężkie płyną niebem. Nie maluje słońce.
Koniec. W naszej chałupie
Rządzą błyskawice i koty.

ROZMOWA PRZEZ TELEFON



PROF. DR BOLESŁAW LEWICKI, PANSTWOWA WYŻSZA SZKOŁA TEATRALNA I FILMOWA.

Na ankietę waszą właściwie odpowiedzieć nie mogę. Za mało chodzę do teatru, żebym mógł dokonać jakiegokolwiek wyboru. Zresztą, zajmując się problematyką kultury masowej – zauważyłem, że dziś następuje jako proces odwrotny do procesu frustracji, proces tak zwanej koniecznej selekcji. Pod wpływem działania środków masowych, radia a zwłaszcza telewizji – każdy musi optować na rzecz tych zjawisk kulturalnych, które na niego działają oczyszczająco. Wskutek tego nie ma mowy o tradycyjnym chodzeniu do teatru; nie mamy na to czasu i nie mamy na to ochoty. Zaznacza się przy tym renesans sztuk mówionych, ludzie częściej chodzą na odczyty, recitale, spotkania z twórcami, bo przeżycia, które dawniej dawał teatr, dostarczane są dziś przez telewizję i niektóre formy kina.

Reasumując: myślę, że w teatrach jest pewne minimum rzeczy, które trzeba obejrzeć, to są te, które bywają ewenimentami artystycznymi. Z tym zastrzeżeniem, że nie zawsze wartość literacka tekstu jest wskaźnikiem wartości przedstawienia, chodzi jeszcze o moment historyczny i o moment twórczy, twórcze widzenie tekstu i pokazanie go widzowi.

W łódzkich teatrach dość dawno okazji do przeżywania tzw. wstrząsów artystycznych nie mamy.

PROF. DR ROMAN WAJDOWICZ, PROREKTOR PANSTWOWEJ WYŻSZEJ SZKOŁY TEATRALNEJ I FILMOWEJ.

Mamy niestety, duże luki jeśli chodzi o spektakle w teatrach łódzkich, przyczyna – spora ilość zajęć. Z tego co widziałem najbardziej utkwiła mi w pamięci sztuka Dürrenmatta „Fizycy” w Powszechnym.

Z ról – rola Ladażniczy w wykonaniu Hanny Bedryńskiej w „Ladażniczy z zasadami” Sartre’a w Teatrze Nowym. Scenografia – też brak mi skali porównawczej, ale z oglądanych chyba najbardziej trafiała mi do przekonania spokojna, prosta i surowa dekoracja do „Malatesty” w Teatrze im. Jaracza.

STEFAN WEGNER, ARTYSTA PŁASTYK, PROF. WYŻSZEJ SZKOŁY SZTUK PŁASTYCZNYCH.

Nie mogę, niestety odpowiedzieć, choruję, od dłuższego czasu źle się czuję, mało chodziłem do teatru.

RYSZARD KOSEL, KIEROWNIK KSIĘGARNI.

Jedźcie dosyć dużo po Polsce i widziałem wiele przedstawień. Jeśli chodzi o Łódź, głosowałbym na „Fizyków” Dürrenmatta – sztukę tę widziałem zresztą w Warszawie, może tam pod względem wykonania aktorskiego była lepsza, ale jednak z łódzkich przedstawień wybrałbym ją właśnie.

Z ról aktorskich mnie najbardziej przypadł do gustu Leon Niemczyk w przedstawieniu „Jaśnie Pan Nik!” w Teatrze Powszechnym. Zresztą przyznam się, że wpływ na mój wybór wywarł fakt, że często widuję tego aktora i w filmie („Nóż w wodzie”) i na ekranie telewizyjnym. Podobają mi się u niego jakieś zdecydowane męskość.

Za najlepszą scenografię uważam oprawę plastyczną do sztuki „Jaśnie Pan Nik!” Lecha Zahorskiego, z tym zastrzeżeniem, że przeciż jednak wszystkich przedstawień w Łodzi nie oglądałem.

1. Które z przedstawień łódzkich 1963 r. uważa Pani/Pan za najwybitniejsze osiągnięcie?
2. Która z ról jest najciekawszą kreacją aktorską?
3. Jaka scenografia wspiera najmocniej wymowę sztuki?

ZDZISŁAW GŁOWACKI, ARTYSTA PŁASTYK, REKTOR PANSTWOWEJ WYŻSZEJ SZKOŁY SZTUK PŁASTYCZNYCH.

Trudno mi odpowiedzieć, nie pamiętam czy widziałem któryś ze spektakli minionego roku. Nie mogę wziąć udziału w ankiecie.

DR STANISŁAW KASZYŃSKI, TEATROLOG

Nie mam skali porównawczej – jestem w Łodzi od września 1963 r. Z oglądanych przedstawień stawiam na pierwszym miejscu „Czerwoną Magię” Ghelderode’a.

Zygmunt Malawski w „Czerwonej Magii”. Polscy, a w tym łódzcy scenografowie nie zasługują na akcentowanie ich osiągnięć. Teatr jest dla większości z nich terenem imaginacji dość odległym od sensu i funkcji tej sztuki. Jeśli „popelniają” dobre prace, zasługa to wyłącznie dawnych mistrzów.

ANGELINA KOENIGIL ABSOLWENTKA SOCJOLOGII

Chodzę do teatru na sztuki jedynie z wyboru. Gorzej odbieram repertuar klasyczny, kostiumowy o konwencjonalnym ładunku emocjonalnym. Pociąga mnie raczej teatr współczesny i eksperymentalny, sztuki o żywej, współczesnej problematyce. Stąd moje zainteresowanie telewizyjnym teatrem „Studio 63” czy też doświadczalnym teatrem Grotowskiego z Opola, to jest „Teatrem 13 rzędów”.

Ze sztuk oglądanych w Łodzi w r. 1963 najciekawszym osiągnięciem jest dla mnie „Kariera Artura UI” Brechta w Teatrze Jaracza ze względu na scenografię i rolę Artura w wykonaniu Jerzego Walczaka oraz „Fizycy” Dürrenmatta ze względu na wartości literackie tekstu i reżyserię.

LECH BUDRECKI, KRYTYK LITERACKI.

W 1963 roku nie byłem na żadnym przedstawieniu. Dużo czasu zajmuje mi Uniwersytet, którego jestem pracownikiem, a po południu i wieczorami mam zajęcia w telewizji, tak że w praktyce nie mam czasu na teatr.

REDAKTOR, WLADYSŁAW ORŁOWSKI.

Ograniczę się do podania poszczególnych pozycji, bez motywacji, piszę bowiem recenzje i zdanie swoje już na ten temat wypowiedziałem. A więc za najwybitniejsze osiągnięcie teatralne ubiegłego roku uważam spektakl: „Ten, który dotrzymuje słowa” Gomeśa w Teatrze Nowym. Najciekawszymi osiągnięciami aktorskimi są role: Zee Osiółka w wykonaniu Ludwika Benoit’a w tejże sztuce oraz rola Lenina w wykonaniu Feliksa Zukowskiego w „Trzeciej Patetycznej” w Teatrze im. Jaracza.

Scenografia – Henri Poulain’a do „Czerwonej Magii” na Małej Scenie Nowego Teatru.

INŻ. ARCHITEKT ROMUALD JACKOWSKI.

Za najciekawsze osiągnięcie roku 1963 uważam spektakl sztuki Gomeśa „Ten, który dotrzymuje słowa”. Drugim wybitnym wydarzeniem jest „Carmina Burana”, nowa opera, trudna, eksperymentalna; niesłychanie ciekawa, trzeba i warto ją zobaczyć.

Z ról aktorskich minionego roku – najlepsza kreacja to Zee Osiółek w wykonaniu Ludwika Benoit’a w „Tym, który dotrzymuje słowa”. Dobrym nabytkiem dla Łodzi jest Krzysztof Chamec z Teatru im. Jaracza. Już w sztuce „Orfeusz w wężowej skórze” był świetny, ale w roli Oktawiana w „Cezarze i Kleopatrze” – cholernie mnie, przepraszam, wziął. Jest bez cienia patosu, naturalny, powściągliwy; każda rola w jego wykonaniu jest inna. Wejdzie na scenę i po czterech słowach już się czuje osobowość postaci sceniczej.

Scenografia? Nie pamiętam czy „Brytannik” był premierą minionego roku, może nie, ale scenografia do tej sztuki szczególnie mi odpowiada. Trafna, statyczna, monumentalna. Jestem na te rzeczy specjalnie uwrażliwiony, to trochę moja branża (projektowałem Małą Salę Teatru Nowego). Jeśli „Brytannik” nie wchodzi w rachubę to łódzkiego Oskara za scenografię 1963 roku chyba nikomu bym nie dał.

MARIA PYTLASIŃSKA, KIEROWNICZKA KLUBU KOBIET PRZY LIDZE KOBIET.

Do teatru chodzę dużo, kocham teatr. Ze sztuk chyba najlepsza – „Fizycy” Dürrenmatta, choć „Trzecia Patetyczna” też mi się podobała.

Jeżeli chodzi o bardziej interesujące role aktorskie – wymieniałabym Zdzieszyską w „Fizykach” i co mogę dodać jeszcze – zaskoczyła mnie w tym roku Krawczykowa w sztuce „Jutro Berlin” Orłowskiego, w odmiennej, niż ją widywałam, roli, tym razem dramatycznej. Scenografia? Nie lubię tzw. nowoczesnych dekoracji. Podobała mi się, z tego co widziałam, chyba najbardziej dekoracja do „Wiernej rzeki” w Teatrze im. Jaracza.

STANISŁAW FIJALKOWSKI, ARTYSTA PŁASTYK, PROF. WYŻSZEJ SZKOŁY SZTUK PŁASTYCZNYCH.

Nie mogę wziąć udziału w waszej ankiecie, mało chodzę do teatru.

MARIA GLUSZEK, STARSZY INSPEKTOR, ŁÓDZKI ZWIĄZEK SPÓŁDZIELNI PRACY.

Chodzę do teatru bardzo dużo, dostojnie tyle, ile tylko mogę. W tym roku opuściłam niewiele, a to co opuściłam

– na pewno nadrobię. Uważam teatr za najlepszą rozrywkę chciałabym, żeby teatr był jeszcze więcej umasowiony, aby było więcej możliwości korzystania z ulgowych biletów.

W tym roku było dużo ciekawych, wartościowych przedstawień. Takich, o których się potem dużo myśli. Więc „Kariera Artura UI” Brechta i „Orfeusz w wężowej skórze” Williamsa w Teatrze im. Jaracza, „Fizycy” Dürrenmatta w Powszechnym, „Czerwona Magia” w Nowym.

Z aktorów – gdybym miała kogoś nagradzać – to bym w pierwszym rzędzie wybrała panią Kozierską w roli Lady w „Orfeuszu”, świetnie zagrana, wymownie, przekonująco. A także Jerzego Walczaka za rolę Artura UI. Ja nie jestem oczywiście, znawcą teatru, ale on przeszedł w tej roli samego siebie, to była naprawdę jedna z najlepszych kreacji, słusznie otrzymał za to nagrodę. Za najlepiej odpowiadającą atmosferze sztuki scenografię – uważam oprawę plastyczną do „Czerwonej Magii”.

KONSTANTY MACKIEWICZ, ARTYSTA PŁASTYK.

Mało chodzę do teatru, nie mogę się wypowiedzieć.

DRZEWICKA HELENA, LEKARZ DENTYSTA.

Mimo, że jako lekarz pracowników filmu i teatru mogę iść na każdą sztukę, niewiele widziałam w minionym roku. Za dużo pracy i trosk osobistych. Z tego jednak co oglądałam najbardziej podobał mi się spektakl w Teatrze Nowym „Ten, który dotrzymuje słowa” Gomeśa. To co robi tam Ludwik Benoit to kreacja, nie wiem, czy któryś z łódzkich aktorów zrobiłby to lepiej od niego. Podobają mi się również scenografia do tej sztuki. W ogóle to bardzo ciekawe widowisko.

PROF. DR BARDACH JANUSZ, CHIRURG.

Najciekawsza sztuka? Chyba „Dwoje na huśtawce” w Teatrze Nowym. Rola – Volta w tej sztuce. Scenografia – do „Skowronka” Anouilha w Teatrze Powszechnym. Ale to chyba było nieco dawniej.

KUBA GEIGER, STUDENT IV ROKU PANSTWOWEJ WYŻSZEJ SZKOŁY TEATRALNEJ I FILMOWEJ.

Najciekawszym spektaklem 63 roku jest niewątpliwie „Kariera Artura UI” Brechta w Teatrze im. Jaracza. Mam zresztą skalę porównawczą, widziałem tę samą sztukę w Warszawie.

Z ról aktorskich najbardziej podobał mi się p. Przybylski w „Malatestie”.

Na trzecie pytanie ankiety jest mi trudno odpowiedzieć, może dlatego, że sam interesuję się szczególnie scenografią (byłem kiedyś studentem architektury, rysowałem) ale bardziej dlatego, że przyszedłem tu ze szkoły krakowskiej. W każdym razie nie odpowiada mi to, co się dzieje w zakresie scenografii w teatrach łódzkich. Same dekoracje są nieraz „bardzo ładne”, jak np. do „Gomeśa” Nienackiego w Teatrze Powszechnym, efektowne ale niefunkcjonalne, nie oddają tzw. ducha sztuki, nie wspierają jej wymowy. Tu się niepotrzebnie „udźwina”, to jest „sztuka dla sztuki”. Opowiedziałbym się za dekoracją bardziej skłasyfikowaną, stylizowaną.

Z opraw plastycznych 63 r. może najbardziej trafia mi do przekonania scenografia Iwony Zaborowskiej do sztuki Gomeśa „Ten, który dotrzymuje słowa” w Teatrze Nowym, ale aż mnie kuszą, żeby zaznaczyć, że ze wszystkiego co widziałem w Łodzi najlepsza – moim zdaniem – była dekoracja krakowskiego scenografa Stopki do „Historii o Chwałebnym Zmarłym-hwałstaniu Pańskim”, stylizowana, lekka, funkcjonalna, dowcipna. W ogóle z polskich scenografów Stopka odpowiada mi najbardziej.

HELENA OCHOCKA, STUDENTKA POLONISTYKI (III ROK).

Najciekawszą sztuką byli dla mnie „Fizycy” Dürrenmatta ze względu na tekst i rolę w wykonaniu p. Sabary. Pan Sabara zresztą podobał mi się również w roli portiera hotelu w „Golemie” Nienackiego, choć o samej sztuce powiedzieć tego nie mogę.

Za najlepszą rolę uznałabym chyba rolę Artura UI w sztuce Brechta w wykonaniu Jerzego Walczaka. Scenografia – do tej właśnie sztuki.

Chciałabym jeszcze dodać, że nas, młodzież uniwersytecką, a polonistów zwłaszcza, interesuje bardziej repertuar współczesny, rozumiemy że Słowacki i klasycy w ogóle to pozycje potrzebne i konieczne, ale chcielibyśmy więcej współczesności. Na razie sztuki współczesne czytamy w „Dialogu” – słyszy my, że są grane w innych miastach, tu w Łodzi, w minionym roku mieliśmy tylko chyba Dürrenmatta”.

Ta błyskawiczna ankieta, którą zamieściliśmy naszym Czytelnikom spokojnych świątecznych dni, niepełna, bo nie przeprowadzona przez szerszy przekrój społeczeństwa, nie może być podstawą do jakichś uogólnień. A jednak już z niej można wyciągnąć wniosek: ludzie chcą więcej sztuk współczesnych o szerokiej, uniwersalnej problematyce.

Drugim ciekawym problemem jest sprawa funkcjonalności łódzkiej scenografii.

Do tego zagadnienia warto kiedyś wrócić.

REDAKCJA

UCIECZKA MALCOLMA LOWRY

Malcolm Lowry zmarł w roku 1957. Miał wówczas 48 lat. Pozostawił po sobie kilka równocześnie pisanych powieści — jedną z nich *October Ferry to Gabriola* wydano drukiem bodajże rok temu — i szereg krótkich opowiadań. Pozostawił po sobie również mitologię, Mitologię wokół Malcolma Lowry. Mitologia była podszyta stereotypem. Stereotypem zapożyczonego pisarza, którego wielkość proklamują poza krajem, na obczyźnie i to nie byle gdzie, bo w Paryżu. I stereotypem człowieka, któremu nie się nie powiodło, nie się nie udało, nawet kariera literacka. I stereotypem buntu. Był to bunt przeciw cywilizacji. Lowry uciekał przed nią. Nie mógł się nigdzie zatrzymać. Ani w Meksyku, ani w Chinach. A może — podszeptuje nowy stereotyp — uciekał przed samym sobą? Może jego

bunt stał się buntem przeciw kondycji ludzkiej? Przeciw niezmienną a metafizycznej doli? Ale Malcolm Lowry prócz mitologii zostawił również *Pod Wulkanem*. Powieść tę wydał w roku 1947. Zaczął ją pisać trzydzieści lat wcześniej. Gdyby nie ona, Lowry byłby artystą bez dzieła, pisarzem bez książki. Zginąłby w cieniu własnego życiorysu. *Pod Wulkanem* jest wielką powieścią. A raczej powieścią kilku znakomych rozdziałów. Takich rozdziałów nie napisał nikt z powojennych angielskich pisarzy. Nawet Lawrence Durrell w swoim *Aleksandryjskim kwartecie*.

Pod Wulkanem jest powieścią o dipsomanii. Dawna żona konsula Yvonne mówi w pewnej chwili: „Tak czy inaczej, tu nie chodzi o picie”. I ma rację. Powieść o alkoholizmie to zaledwie „zewną-

trzna”, a zarazem najbardziej uchwytna warstwa *Pod wulkanem*. Czyżby więc była to przede wszystkim powieść polityczna — jak sugeruje nam w swym posłowniu Jerzy Lisowski. Ależ nie. To tylko powieść osądzona w politycznych realiach swego czasu. A więc powieść o izolacji. Osobowość staje się tu niewyraźna. Niepodobna przekazać to, czego człowiek doświadcza. Każdy przekaz jest przekazem ułomnym, jakby kalekim. Każde porozumienie zmienia się w pozór. A przecież dążymy do porozumienia. Do przekroczenia tego, co nieprzekraczalne. Dramat trojga ludzi w Quauhna-huac jest dramatem nieprzekazywalności. Dramatem całkowitej izolacji własnego doświadczenia. A więc tym, co stanowi główną problematykę Becketta, raz po raz powtarzaną w jego parabolicznych dramatach i coraz bardziej w parabolę angażującą się prozie. *Pod wulkanem*, jednakże to nie tylko powieść o całkowitym odosobnieniu, z którym styka się konsul i Yvonne i Hugh i nawet Laruelle. *Pod wulkanem* ma drugie dno. Tworzy ją symboliczna warstwa powieści. Odwołuje się ona do pierwszych tercyn dantejskiego *Piekieła*. Do Kabały i biblijnych mitów. Wraca tu symbol lasu i koń z siódmką wypaloną na zadzie i nade wszystko ogród — ogród, który jest rajem. I — symbol upadku — rozpadlina, w którą wrzucają zabitego konsula i nad którą staje Laruelle wówczas, gdy „światliste koło” zaczyna obracać się wstecz. Lowry tropi bowiem uniwersalną formułę wszelkich zdarzeń. Chce uchwycić niezmienną prawidłowość świata. A w każdym razie istotę ludzkiego losu. Formuła, którą zdaje się tu proponować, jest formułą banalną. Ale obok niej jawi się obrona konsula. A więc tego, który wybrał upadek, który decyduje się na samozniszczenie. Formuła zaczyna chybotać. A raczej chwiała się kryteria wartości proklamowa-

ne przez pisarza. Heroizacja konsula staje przeciwno nim. Obraca się w kręgu faulkerowskiej problematyki. Zderzamy się z tym co „piękne i potępienie”. Ten, który jak Faust wybiera „diabła” i czyni to z pełną świadomością wyboru, godny jest podziwu. Może nawet bardziej zasługuje na podziw niż inni. Wybiera potępienie. A kontakt z potępieniem udziela postaci szczególnego piękna. W tym miejscu odsłania się tradycja, z której wyrósł Malcolm Lowry. Odwołuje się ona do prozy anglosaskiej pierwszej połowy XIX wieku. Rzecz prosta, nie do Jane Austen i nie do Dickens czy Thackeraya. Konsul jest przedłużeniem i zarazem modyfikacją Heathcliffa z *Wichrowych wzgórz* Emilii Bronte, może niektórych postaci Hawthorne'a, na pewno zaś kapitana Ahaba i melville'owskiego *Moby Dicka*. To jedna zaledwie tradycja prozy Malcolma Lowry. Drugą stanowi Joyce. Nie ten z *Dublinczyków*, czy *Portretu artysty*. Model pisarski Lowry'ego odwołuje się do *Ulyssesa*. Ależ tak, oczywiście. To nie *Ulysses* per se, powany bezpośrednio. To *Ulysses* przejęty jakby z drugiej ręki, jakby poprzez Williama Faulknera. Tego Williama Faulknera, który pierwowzorem dla Bayarda Sartoris czy pułkownika Sutpena szukał również w spóźnionej gotyckiej opowieści.

Mówiąc tu: Joyce, nie myślimy o monologach wewnętrznych tu i ówdzie przepłytkanych narracją takich choćby jak ta, od której zaczyna się *Pod wulkanem*. Są to przecież monologi mocno „podstrzyżone”, dające do zrozumienia, co w nich jest odształceniem dokonany przez świadomość, gdzie kończy się czas fizyczny i gdzie zaczyna się czas psychologiczny. Nie dzieje się tak zawsze, to prawda. Inaczej rzecz wygląda w monologach konsula. Tam znika świat zewnętrzny, tam niepodobna go odtworzyć na podstawie danych świadomości. Tam pozostaje

już tylko czyste doświadczenie. Ale eksploatacja monologu wewnętrzny w niewielkim jedynie stopniu naprowadza na trop Joyce'a. Monolog wewnętrzny nie był przecież ani odkryciem autora *Ulyssesa* ani też jego zastrzeżoną własnością. A już na pewno o pokrewieństwie z Joyce'em nie świadczy zalew epitetów, prawdziwa powódź przymiotników, bez której trudno sobie wyobrazić *Pod wulkanem*. Lowry mnoży je, potęguje. Wspomaga metaforą, czasem, a nawet często koślawą. Angażuje rekwizyty poetyckie czasu zaprzęskiego. Oddaje się w służbę retoryki. To już nie stylizyka Joyce'a. To Joyce skorygowany przez Faulknera. Zasadniczy jednak model powieści, oparcie o symbolikę, odwoływanie się do dantejskiego *Piekieła*, do mitu o rajskim ogrodzie i mitu o doktorze Faucie, do Biblii i ksiąg Kabały? Tak, to właśnie joyce'owski wzór prozy. Wzór, który przyświecał Joyce'owi wówczas jeszcze, gdy pisał on *Dublinczyków* i gdy apelował w *Portrecie artysty* do przypowieści o kreteńskim labiryncie. Wzór, któremu pozostał wierny, aż po *Przebudzenie Finnegana*. Tu Lowry spotyka się z Joyce'em. Tu bierze z niego pełnymi garściami. Ale oto zaraz rozstana się. Rozstana się przy postaci Konsula. Lowry wyzyskuje bowiem tradycję, którą Joyce pominał. Joyce wyrósł przecież na Flaubertcie. Na prozie odsłaniającej powszedniość. Banalne wydarzenia, belkot codziennych rozmów, niepotrzebne gesty... Lowry odrzucił Flauberta. Poszukał sobie gdzieś indziej literackiego zaplecza. Znajdzie go w prozie angielskiej początków XIX wieku. W *Confessions of a Justified Sinner* Jamesa Hogga, w *Wichrowych wzgórzach* Emilii Bronte, w prozie Melville'a. Połączy tę tradycję z tradycją Joyce'a. Z tego przedziwnego aliażu powstanie wielka powieść o konsulu. O Geoffreyu Firmin. Powstanie *Pod wulkanem*.

TADEUSZ PAPIER

Sztuka śmiechu przez łzy

(na marginesie książki Horacego Safrina *Przy szabasowych świecach*)

Tak określano kiedyś styl Szolem-Alejchema, klasyka literatury żydowskiej. To porównanie na suwa się w związku z najnowszym wyborem humoru żydowskiego dokonany przez Horacego Safrina. Ale chcę użyć tego określenia w innym kontekście. Nie jako kryterium oceny, ale motywu, który zakłada określoną kompozycję książki i nakazuje dobór takiego a nie innego materiału.

Horacy Safrin pisze książkę o swoim rodzinnym miasteczku. Książka, jak wyznaje autor, powstała z autentycznego materiału. Safrin zbiera anegdoty, dykteryjki i facecje ludzi, z którymi się kiedyś spotkał i przypomina je teraz. Jest więc Safrin zbieraczem starego folkloru żydowskiego. Zbieraczem, który z górą trzydzieści lat spędził w środowisku żydowsko-galicyskim. Swojemu rodzinnemu miasteczku poświęcił Safrin niemal połowę książki. Jakież jest to miasteczko, „gdzie kozy zwykły się pasać na placu targowym, a trzy latarnie uliczne użyczały naftowego światła tylko w bezksiężycowe noce”?

Galeria postaci zaprezentowanych przez Safrina jest bardzo bogata. Obejmuje szereg charakterów i typów — począwszy od żebraków, nosiwodów, „karasi”, rabinów i cadyków a skończywszy na miejscowych i pozamiejscowych „grubych rybaczach”. W książce spotykamy równe bogactwo motywów — od szarych trosk codziennego życia aż do spraw po ważnych, miłości i religii. Żarty Safrina to w przeważającej mierze żarty proletariatu żydowskiego. To dykteryjki i facecje ludzi często głodnych. Książka odsłania różne dziedziny życia — obyczajowe, społeczne, pokazuje ludzi,

którzy u cadyka szukają sposobu na kupno chleba, ludzi wyzyskiwanych, a mimo to pełnych ironii, dowcipu, sarkazmu, satyry, wyszydającej nie tylko swoich przeciwników, ale i siebie, i dlatego głębokiej, nie powierzchownej.

Do doskonale znamy koloryt tego miasteczka. W warstwie obczy-

semka świąteczne” (Jontew-ble-blech). Walczył w nich z obskurantyzmem i ciemnotą malomiaszczkową, z izolacją kulturalną miasteczka poddanego wpływom rabinów starej szkoły talmudycznej bądź cadyków, utwory swoje adresował do robotnika żydowskiego i wskazywał na rzeczywiste źródła jego nędzy. I te akcenty postępowe, wolnomyślicielskie, drwiące, wyszydające znajdziemy i w humorze zebranym przez Horacego Safrina.

Ale Safrin opuszcza teren miasteczka. Opuszczając zaś ten teren zmuszony jest także wyjść poza zakres własnych doświadczeń i własnych wspomnień. Musi sięgnąć do innych źródeł. Bibliografia, z której korzysta Safrin, nie jest bogata. Autor mówi tylko o „pewnych materiałach anegdotycznych”, które zaczerpnął z zbioru Salomei Landman „Der jüdische Witz”, ze zbioru Immanuel Olsvanger „Rożnykes myt Mandlen”, z „Folks-Sztyne” i innych. Poszerzył zakres i tematykę anegdot ale załamał również pierwotne założenia! Obok żartu ze Stanisławowa zamieszcza żart z Łodzi. Dykteryjka z okresu cara Mikołaja sąsiaduje z dykteryjką z czasów najnowszych. Mimo pewnego uporządkowania tematycznego książka w sumie daje raczej luźny wybór humoru żydowskiego.

Autor nazywa swój zbiór „skromnym” i podkreśla, że nie zamierza poprzedzić go „uczonym wywodem” na temat istoty czy genezy humoru żydowskiego. Bo jakież smak, pisze, może mieć anegdota z długim komentarzem? Myślę jednak, że przy tak starannej i obszernej (285 stron druku) edycji przydałby się chociażby krótki wstęp — niezależnie od ciekawego i lirycznego przedślowia, które przecież w książce spełnia zupełnie inną rolę. Uważam, że wstęp taki byłby konieczny, chociażby

ry tworzących w języku jidysz. I zawsze będą żyć bohaterowie ich książek, bohaterowie, którzy zeszli ze sceny jak ich biblijni antenaci, a którzy mimo to nie umarli.

Przecież ja Safrina rozumiem: Perec pisał na długo przed okropną gehenną ostatniej wojny: „tyłem się nalykali żółci, cykuty, nienawiści, że gdy nawet podają nam chleb i sól, jesteśmy przekonani, że to trucizna; nawet wtedy, gdy ręka podającego drży ze współczucia, nawet wtedy, gdy w jego oczach błyszczy lzy litości, a z ust padają słowa otuchy...”

P.S. W tej pięknie wydanej książce (świetne ilustracje Stanisława Labęckiego (projekt obwoluty i tłoczenia na okładce Romana Prokulewicz) nie ustrzeżono się pewnych potknięć stylistycznych i technicznych. Np.: „Zaprowadził ku oknu”. W spisie treści pominięto ważny rozdział o Herszlu z Ostropola. Nie dano akcentów graficznych na końcu dykteryjek zamieszczonych na dole stron, przez co czytelnik niejednokrotnie łączy tę dykteryjkę z dykteryjką zacytowaną na następnej stronie.

Horacy Safrin, „Przy szabasowych świecach” Humor Żydowski, Wydawnictwo Łódzkie, rok 1963, ark. druk, 18,5, cena zł 30.



Po śmierci GUSTAWA MORCINKA

W grudniu ub. r. zmarł w wieku lat 72 Gustaw Morcinek — jeden z najpłodniejszych i najpopularniejszych pisarzy polskich. Książki jego tak chętnie czytane zarówno przez starszych jak i przez młodzież weszły do żelaznego repertuaru naszych lektur. Kiedy w r. 1961, w siedemdziesięciolecie urodzin pisarza, Wydawnictwo „Słask” opublikowało ku jego czci książeczkę pamiątkową, zawartą w niej bibliografia prac Gustawa Morcinka wyhościła grubo ponad sto pozycji, w tym powieści, opowiadania, utwory dla młodzieży, szkice itp. Był też Morcinek autorem często tłumaczonym na języki obce.

Cała jego twórczość, zresztą jak i jego życie, nierozdzielnie związane były z Śląskiem. Urodził się w Karwinie, a przez większość lat swojego życia mieszkał w Skoczowie, Śląsk i jego ludzie, to było nienastające źródło podniecia twórczych posarza. Pamiętamy, jakim wydarzeniem przed wojną była jego powieść WYRĄBANY CHODNIK, a po wojnie — POKŁAD JOANNY.

Dziś, kiedy już zamknęły się życie i praca pisarza, możemy sobie powiedzieć, że choć krytyka pisała o Morcinku dużo i często, nie cenila go zbyt. Krytyki o nim były zazwyczaj zdawkowe. Krytycy nie cenili twórczości Morcinka tak wysoko jak cenili i cenią ją czytelnicy. Może najtrafniej ujął istotę jego twórczości Stefan Kolaczowski, pisząc, że Morcinek, to talent popularny, spontaniczny i żywiołowy.

Jedną z książek Morcinka nosi tytuł — LUDZIE SĄ DOBRZY. Morcinek zawarł w tym tytule niejako swoje credo. Wierzył w ludzi, ponieważ sam był dobrym człowiekiem. Dodajmy, że Morcinka cechowały: uczynność, koleżeńskość i poczucie humoru. Pisząc te słowa, zefknął się z Gustawem Morcinkiem kilkakrotnie. Był to znakomity gawędziarz. Przypominam sobie jego opowiadanie o pobycie w Jeleniej Górze. „Pojechałem tam — mówił Morcinek — na spotkanie autorskie. Przy tej sposobności chciałem zobaczyć jak wygląda ulica, nazwana moim imieniem. Zatrzymałem pewnego przechodnia i pytam: — Panie, gdzie tu jest ulica Gustawa Morcinka? Ten wzruszył ramionami: — Nie wiem, panie. Ale ja nie daję za wygraną. To może mi pan powie, kto to był ten Morcinek? A na to przechodzień: — A diabli tam wiedzą, co to za jeden”. Morcinek roześmiał się i my również. Właściwie zawsze pamiętam go uśmiechniętego. Miał w sobie coś ze słonecznej radości. Był pogodny i potrafił cieszyć się jak dziecko. Takim pozostanie w pamięci kolegów i przyjaciół.

J. K.

CZTERY MILIONY PLYT

W ciągu jednego tygodnia sprzedano w Stanach Zjednoczonych cztery miliony płyt z nagraniem fragmentów przemówień zamordowanego prezydenta Kennedy'ego. Nigdy dotąd w tak krótkim czasie nie sprzedano takiej ilości płyt w żadnym kraju. Nasuwa się tu smutna refleksja: dopiero po śmierci słowa i czynu ludzkie nabierają powszechnego znaczenia. W związku z tym warto dodać, że kompozytor francuski Darius Milhaud napisał krótki utwór muzyczny poświęcony pamięci Kennedy'ego pt. „Zabójstwo wielkiego męża stanu”.

PUSCZNA HEMINGWAYA

Jak oświadczyła w Nowym Jorku wdowa po Hemingwayu, pisarz pozostawił w spadku 25 kilogramów rękopisów, w tym jedną powieść, szkice o Paryżu, krótkie opowiadania i wiersze. Jako pierwszy z puszczonych Hemingwaya zostanie wydany zbiór szkiców paryskich. Jak wiadomo w latach dwudziestych Hemingway mieszkał stale w Paryżu, gdzie zaprzyjaźnił się z wieloma pisarzami, m. in. z Gertrudą Stein, która była chrestną matką jego syna — Johna. Szkice paryskie Hemingwaya staną się z pewnością swoistą rewelacją na rynku wydawniczym.

SŁOWA SEFERISA

Po rozdaniu nagród laureatom Nobla za r. 1963, odbyło się w Sztokholmie uroczyste przyjęcie, na którym laureaci wygłaszali krótkie — jak doniosła prasa — bo zaledwie kilkuminutowe toasty. M. in. zabrał głos Giorgos Seferis, który powiedział: „Jestem głęboko przeświadczony, że w naszym świecie pełnym lęku i trwogi, sztuka poetycka jest niezbędna. W dzisiejszym coraz bardziej mrocznym świecie każdy z nas potrzebuje drugiego człowieka. Musimy szukać człowieka wszędzie. W drodze do Teb spotkał Edyp Sfinksa i odpowiedział na jego zagadkę: „Człowiek”. To jedno słowo zniszczyło wielką potworność. Ale my mamy do zniszczenia wiele potworności — i trzeba nam pamiętać o słowie Edypa...”

CZEGO LUDZIE SZUKAJĄ W ANTYKWARIATACH?

W okresie świąt i nowego roku panował wzmógłony ruch również w księgarniach. Tym razem bardzo nas zainteresowały antykwariaty. Czego ludzie tam szukają? Jakich książek, jakich wydawnictw? Z rozmów z doświadczonymi antykwaryuszami i poczynionymi obserwacjami wynika, że najczęściej poszukiwanymi książkami są, po pierwsze: wszelkiego rodzaju podręczniki, po drugie: publikacje o charakterze pornograficznym, i po trzecie: kryminały.

Z tego wniosek, że w badaniach czytelnictwa trzeba brać pod uwagę nie tylko biblioteki i nie tylko księgarnie z nowościami wydawniczymi, również antykwariaty, których pracownicy mają wiele ciekawych do powiedzenia o zainteresowaniach swoich klientów.

CO Z TYM KATAREM?

Czytam w niedawno wydanych listach młodzieżkiego Krasniskiego do Papy:

„Niedawno miałem katar lekki, dał mi p. Panchaud lekarstwo i zaraz wyzdrowiałem...”

List pochodzi z 1830 roku, ale za mojej pamięci nikt nie mógł wskazać, co by usowało katar. Dopiero w zeszłym roku grupa badaczy krakowskich chemików i lekarzy, o czym było w prasie, obiecała skuteczny specyfik przeciwko katarowi. I jakoś o nim głuchol! Okazuje się, że za czasów Zygmunta Krasniskiego, choć nie znano tych różnych wirusów powodujących katar, medycyna nie była wobec niego bezradna. Co na to współcześni specjaliści? A może Krasniski zmyślał?

K. S. STANISLAWSKI

Rok ubiegły w życiu teatralnym przebiegał pod znakiem setnej rocznicy urodzin wielkiego rosyjskiego aktora i reżysera, twórcy teatru.

Przytaczamy kilka uwag z licznych, pozostawionych w bogatej spuściźnie, notatek Stanisławskiego...

Dopóki aktor dąży do zamierzonego ideału — jest artystą, gdy go osiągnął — staje się rzemieślnikiem.

Akademickość nie ma wad, ale same zalety i dlatego jest ona martwa, oschła i nieżywcowa.

Aktorzy zawsze troszczą się nie o to — „co” grać, ale „jak”.

Aktorzy dlatego są przesądni, iż uzależniają siebie od przypadkowego natchnienia.

Krytyk utalentowany może być przyjacielem artysty i pomagać mu w jego twórczości, a także w roli pośrednika, wyjaśniającego widzowi to, co jest dobre u artysty. Krytyk nieudolny to wielkie zło nawet wtedy, gdy zachwyca się artystą.

ZAPOWIEDZI NA NOWY ROK

„Nowy mir” w dłuższym artykule zapowiedział swoją treść na rok 1964. Ten miesięcznik, ukazujący się pod redakcją Aleksandra Twardowskiego, przypomina:

„Razem z całą literaturą radziecką NOWYJ MIR widzi swoje zasadnicze zadanie w wychowywaniu człowieka w nowej, komunistycznej moralności. Wypełnieniu tego zadania może sprostać jedynie literatura socjalistycznego realizmu — literatura odważnych poszukiwań, sondująca nowe warstwy rzeczywistości, budząca w społeczeństwie świadomość nowe zagadnienia, wspierająca „produkcję” tendencji w życiu i zdecydowanie walcząca z brakami i nadużyciami...”

Pismo przyrzeka nową powieść Jurija Bondariowa, autora doskonałej „Ciszy”, rozgrywającą się w latach 1952-1953, powieść W. Dudincewa, znanego z książki „Nie samym chlebem”, zakończenie pasjonujących wspomnień Erenburga „Ludzie, lata, życie”, utwory Paustowskiego, Solżenicyna i Tendriakowa, wiersze Achmatowej, Winokorowa, Jewtuszenki, Marszaka, Twardowskiego i wielu innych.

MIESIĘCZNIK „DZIECIĘCIE

„Dziecięcie” poświęcony twórczości pisarzy reprezentujących różne narodowości ZSRR, wśród licznych utworów beletrystycznych wymienia powieść Janki Bryla: „Gniazda i ptaki”, dziejąca się w latach wojny na terenie Związku Radzieckiego, Polski i Niemiec. A więc i nasz czytelnik może jej oczekiwać ze szczególnym zainteresowaniem. Należy bowiem dodać, że białoruski prozaik Janka Bryl (ur. w 1917 roku) wychował się i mieszkał w okolicach Grodna. W 1939 roku jako szeregowiec morskiej piechoty brał udział w obronie Gdyni, potem trafił do niewoli, z której uciekł do partyzantki na jesieni 1941 roku.

CZECHOW I HEMINGWAY

Korespondent „Literaturnoj gazety” przeprowadził dłuższą rozmowę z autorem „Porwania Europy”, „Pierwszych porwywów”, „Niezwykłego lata” — Konstantym Fiedinem. Poruszono m. in. sprawę młodych prozaików. Fiedin powiedział:

„Niekiedy utrzymują, że obecnie najsilniejszy wpływ na młodych pisarzy wywierają Czechow i Hemingway. Opiń, nawiasem mówiąc, ciekawo, chociaż, na pierwszy rzut oka, to paradoksalna. Jeśli Czechow, przedstawiając świat, odkrywa przed czytelnikiem wszystko aż do głębinowych szczegółów, to Hemingway wymaga domyślności, przypuszczeń, a nawet czegoś w rodzaju przeczuwania. Czechow nie boi się obnażania przed czytelnikiem całego zamysłu do końca, Hemingway tego unika. Ale trzeba się liczyć z faktem: ostatnie dziesięciolecie zwróciły kule ziemską ku książkom tych pisarzy. Tak bywa zawsze, gdy artysta przenika duszę swego narodu i swego czasu. Tylko w takim wypadku czeka go prawdziwa długowieczność...”

750 TYTUŁÓW

autorów rosyjskich, radzieckich i zagranicznych zapowiadają na przyszły rok trzy najpoważniejsze wydawnictwa: Goslitizdat, „Sowietskij Pisatel” oraz „Izdatelstwo inostrannoj literatury”.

Są m. in. SKRZYWDZENI I PONIZENI Dostojewskiego, po raz pierwszy od lat 40 humorystki Awerzenki, tom wierszy, przypominający twórczość K. Balmonta, A. Bieliży, M. Wołoszyna, F. Sologuba, O. Mandelstama.

Ukaże się także SPIZOWA BRAMA Brezy.

TIORKIN NA TAMTYM SWIECIE

głosny poemat Aleksandra Twardowskiego — prawie w całości ukazał się w przekładzie L. Lewina w „Kulturze” z 10.XI. — nadal budzi żywy odzew wśród czytelników radzieckich. „Literaturnaja gazeta”, poświęcająca dużo miejsca wypowiedziom swoich czytelników na temat książek, nieraz bardzo pouczającym, drukuje i kontrowersyjne opinie o wcielaniu Tiorkina.

Niedawno przeczytaliśmy wypowiedź prof. G. Orłowa z Archangielska:

„Odrodzony Tiorkin znaku znalazł się w szeregu bohaterów. W nim, Kochającym życie, budzi wstręt wszystko, co przetrzałe i odrętwiałe. W Tiorkin śmieje się z martwoży. Jego niewęczący śmiech to wyrok na tepość i ignorancję, chępliwość i bezduszność, karierowiczostwo i wartościowanie według rang, teńozostwo i zdradę, obłudę i hipokryzję... A walka, którą on prowadzi, nie dla sławy, ale o życie na Ziemi” jeszcze nie zakończona...”

Nowy poemat prozą Saint-Johna Persea laureata nagrody Nobla za rok 1962 ukazał się nakładem Gallimarda. Poemat nosi tytuł Les oiseaux (Ptaki).

Nagrodę Victor Rousset (100 tysięcy franków belgijskich) — belgijski odpowiednik nagrody Goncourtów — otrzymał Charles Bertin za niewydana jeszcze powieść Le Bel Age. Bertin rozpoczął swą karierę literacką od poezji, potem przeniósł się na dramaty — tu pierwszą radiową wersją „Krzysztofa Kolumba” przyniósł mu Prix d'Italie. — Debiutem powieściowym Bertina była powieść Journal d'un Crime (Dziennik zbrodni).

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Z obowiązku wydawniczego pozwalam sobie zawiadomić za Pana pośrednictwem czytelników, nie wchodząc w meritum sprawy, że w końcu miesiąca listopada Br. zgłosiła się do nas Pani Regina Łukasiewicz, wdowa po wybitnym uczonym, prof. dr Janie Łukasiewiczu, która oświadczyła nam, że w wydanej przez nas książce Kazimierza Bieszyńskiego O MNIE I NIE O MNIE znajdują się nieścisłości związane z osobą jej męża:

1. Jak twierdzi wdowa po uczonym, była ona pierwszą i jedyną żoną prof. Łukasiewicza. Informacja o ślubie prof. z Bronisławą Skrzypkówną, byłaby zatem nieścisła.

2. Prof. Łukasiewicz nie posiadał także (jak twierdzi wdowa) stanowiska ambasadora R.P. w Londynie.

Z pozdrowieniem

Dyrektor
(A. POSTOŁOW)

POLOINICA

PRACE HEINRICHA KUNSTMANN

Subhrkamp Verlag we Frankfurcie nad Menem wydał pekaty tom współczesnych słuchowisk radiowych pod wspólnym tytułem „Spectaculum”. Są tam m. in. utwory Brechta, Frischa, Dürrenmatta, Pintera, Camusa, MacLeisha, Becketta i Konstantinowica. Polskie słuchowiska radiowe reprezentuje utwor Zbigniewa Herberta „Jaskinia filozofów” w przekładzie Heinricha Kunstmann. Tłumacz znany ze swoich zainteresowań literaturą polską, ma w swoim dorobku liczne tłumaczenia polskich słuchowisk radiowych, sztuk telewizyjnych i mniejszych dramatów. Heinrich Kunstmann, który jest z wykształcenia slawista, pisuje również artykuły i eseje dotyczące polskiej literatury dawnej i obecnej. Na przykład w tomie „Opera Slavica IV” ukazał się jego szkic historyczny o kontaktach Józefa Maksymiliana z Tęczyną Ossoliń-

skiego z uczonymi niemieckimi na przełomie XVIII i XIX stulecia.

POCHWAŁA POLSKIEGO FILMU

W „Neue Zürcher Zeitung” ukazał się artykuł pt. „Pasażerka” — ostatni film Andrzeja Munka, podejmujący ocenę polskiego filmu w ogóle, w szczególności prac Munka, Wajdy i Kawalerowicza. „Pasażerka”, pokazana w ramach „7 th London Film Festival”, zdobyła sobie pozytywną ocenę fachowej krytyki filmowej. Autor artykułu w „Neue Zürcher Zeitung”, nawiązując do londyńskiego festiwalu, ciepło i z uznaniem pisze o dwóch odwołanych rolach w „Pasażerce” — Aleksandrze Śląskiej i Annie Cielewskiej. Okazuje się raz jeszcze, że nikt nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie. U nas filmy te gania, a gdzie indziej — chwali.

WSPOMNIENIE O WL. BRONIEWSKIM

Włodzisław Ogniew („Literatura Radziecka”) interesująco opowiada o odwiedzinach u śmiertelnego chorego Broniewskiego w 1961 roku w warszawskim szpitalu przy ul. Hożej:

„Poeta zmienił się nie do poznania. Błady, wycieńczony — same tylko oczy (zdumiewająco błękitne) promieniowały dobrym równym światłem jak dawniej...”

Broniewski deklamował swoje przekłady z Jesienina, Pasternaka. Zapytałem go o polskich poetów. Skąpy był, jeśli chodzi o chwalenie, powściągliwy w swych ocenach. Nie dlatego, że nie lubił swych kolegów po piórze. Po prostu dużo od nich wymagał. Poczuliśmy, że martwi go brak społecznego, obywatelskiego zaangażowania. „A może robią teraz to samo, ale po nowemu? — zapytałem ostrożnie. — Różewicz na przykład nie odechodził przecież od życia...” Broniewski spojrzal na szare niebo widniejące za oknem i bardzo twardo, akcentując to słowo skinięciem głowy, powiedział: „Najpoważniejszy...”

FANTAZJE PAULA ANKI

Paul Anka, po powrocie do Kanady, zaczął ogłaszać

przez swoich menagerów opinie na temat występów w naszym kraju. M. in. powiedział, że Polacy przyjmowali go ponad wszelkie wyobrażenia, nieomal na klęczkach, a to dlatego, że pozbawieni są możliwości słuchania jego utworów. A dalej, że rząd polski zaprosił go ponownie na występy w możliwie najkrótszym i najdogodniejszym dla niego czasie.

Czytamy te wiadomości, podane przez amerykański tygodnik „Newsweek” i przecieramy oczy. Jak to, przecież każde dziecko w Polsce wie, kto to jest Paul Anka i może słuchać jego piosenek transmitowanych przez Polskie Radio, jak również z płyt z jego nagraniami, które rozpowszechniają nasze sklepy. A co do owego zaproszenia przez rząd polski... Zauważmy, że Paul Anka ma lat 22 i jego wiek stanowi okoliczność wysoce lagodzącą. Głupstwa wypowiedziane przez Paula Anka i jego menagerów stoja w sikonku wprost proporcjonalnym do jego zasobów umysłowych.

ARNO REINFRANK W POLSCE

Arno Reinfrank, młody poeta i prozaik mieszkający w

Londynie, ogłosił w Szwajcarii tom wierszy pt. „VORBERGEGEHENDE SIEGE” (CHWILOWE ZWYCIĘSTWA), w którym znajdują się dwa wiersze o Polsce: „Polska skarga” i „Trzy kraje”. Jak się dowiadujemy, tenże Arno Reinfrank pisze scenariusz o Warszawie, który ma być zrealizowany w Londynie.

Kraj nasz i jego dzieje wciąż absorbują, niejednego twórcę w Europie. Temat polski spotykamy nie tylko u pisarzy starszych, również — co jest może ważniejsze, — u młodych, początkujących poetów i prozaików.

ENCYKLOPEDIH CIAG DALSZY

Ukazał się drugi, obszerny i obficie ilustrowany tom radzieckiej „Encyklopedii teatralnej”. Spotykamy się tu z hasłami niekiedy szeroko rozwiniętymi, wartościowymi informacyjnie. Niektóre z nich dotyczą przeszłości i współczesności także teatru polskiego. Opracowywał je m. in. Bolesław Rostockij z Moskwy.

Dowiadujemy się nawet o tym, że nasz znakomity Kazimierz Kamiński występował również w Łodzi w 1904 roku.

Znana łódzkiej publiczności teatralnej Ida Kamińska (ur.

1899) znalazła się w encyklopedii wraz z matką, Esterą.

Estera Halpern — Kamińska (1868 — 1925) była również świetną aktorką. Piękne wspomnienie o jej grze spotykamy w pamiętnikach Wietry Jureniewej „Zapiski aktorki” (Moskwa 1946). Estera Kamińska urodziła się na Grodzieńszczyźnie, zadebulowała w warszawskim „Eldorado”, grała po polsku i po żydowsku. Odnosiła sukcesy w Rosji, Francji i USA. W latach 1920-25 występowała w Warszawie.

W artykule o sztuce dekoracyjnej, wśród nazwisk związanych z poszukiwaniami nowych form, znajdujemy nazwiska Daszewskiego, Pronaszki, Frycza, O. Axera, Stopki, Strzeleckiego, Kosiniskiego...

Z encyklopedii dowiadujemy się, że na przykład wybitnym aktorem i reżyserem brazylijskim jest Polak, Zbigniew Ziemiński (ur. w 1908 roku), który studiował w Krakowie na uniwersytecie i w krakowskiej szkole dramatycznej. Jego przedstawienia wyróżniają się poetycką atmosferą, plastycznymi rozwiązaniami inscenizacyjnymi, specyficzną formą i wykorzystywaniem światła...”

Jaka szkoda, że encyklopedia dociera do nas w znikomej ilości egzemplarzy!

● Tippi Hedren, 27-letnia bohaterka „Plaków” Hitchcocka, uważana jest powszechnie za następczynię Grace Kelly. Tippi reprezentuje ulubiony przez Hitchcocka typ kobiety, jasnowłosej, subtelnej, kruchoj a zarazem nieco wyrafinowanej. Takie właśnie kobiety, zdaniem „Króla” kryminalów, nadają się znakomicie do filmów pełnych niesamowitości i zbrodni. „Plaki” są debiutem filmowym Tippi Hedren, która do tej pory reklamowała mleko w proszku na ekranach amerykańskiej telewizji.

● Ingrid Bergman gra główną rolę w realizowanym obecnie w Rzymie filmie o partym na głosnej sztuce Dürrenmatta „Wizyta starszej pani”. Film reżyseruje Bernard Wicki, twórca „Cudu ojca Malachiasza”. 46-letnia aktorka gra 38-letnią kobietę, ale charakteryzatorzy mają sporo kłopotów z „postarzeniem” Ingrid, która jak na złość nie chce wyglądać na więcej niż 25 lat. Kostiumy Ingrid Bergman (projektowane przez Ninę Ricci) kosztują 50 tysięcy dolarów, a biżuteria jaką nosić będzie w tym filmie – pół miliona dolarów. Obok pięknej Szwedki, w filmowej wersji „Wizyty starszej pani” zobaczymy Anthony Quinna w roli Milera.

● Znany krytyk włoski Filippo Sacchi pisze w tygodniku „Epoca” na marginesie recenzowanych filmów: „Oglądając jeden po drugim dwa filmy: „Podbój Zachodu” (superwestern zrealizowany systemem cineramy) i „Archanioły” (włoski film nowofalowy z życia młodych intelektualistów), pomyślałem, że jeśli film dzisiejszy jest rzeczywistością wiernym zwierciadłem życia, to należy sądzić, że nasz świat zmierza ku cywilizacji złożonej wyłącznie z tepech atletów i mieczakowatych intelektualistów. Coś musi jednak nig grać w tym zwierciadle”.

● Znamienna aktorka amerykańska Katarzyna Hepburn („Atrykańska królowa”, „Zebra Adama”) odniosła ogromny sukces w ekranowej adaptacji sztuki O’Neilla „Długa podróż w noc”, reżyserii Sydneya Lumeta („Dwunastu gniewnych ludzi”). Krytyka amerykańska uważa Katarzynę za główną kandydatkę do tegorocznego „Oscara”.

● Po nakręceniu 15-minutowego próbnego filmu z Soraya, włoski producent Dino De Laurentis orzekł, iż była cesarzowa posiada niepospolite zdolności aktorskie predestynujące ją do wielkiej kariery artystycznej. Le Laurentis zamierza powierzyć jej główną rolę w filmie, który byłby swego rodzaju autobiografią Sorayi.

M. K.

ROCZNICA TUWIMA

27 grudnia, w dziesiątą rocznicę śmierci Juliana Tuwima, delegacja pisarzy łódzkich złożyła wieniec na grobie poety na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Przy grobie w Alei Zasłużonych zbrali się żona, córka i siostra poety, młodzież szkół warszawskich oraz znajomi i przyjaciele. Grób Tuwima pokryły wieniec i wianki białych i czerwonych kwiatów.

Tego samego dnia przedstawiciele Wydziału Kultury MRN i Związku Literatów

Oddział w Łodzi, złożyli wianki kwiatów pod pomnikiem Juliana Tuwima przy Młodzieżowym Domu Kultury. Kwiaty złożyli również przedstawiciele łódzkiego Związku Esperantystów.

Nazajutrz, 28 grudnia, odbył się w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki wieczór poświęcony twórczości autora „Kwiatów polskich”. Słowo wstępne o piarzu wygłosił Marian Piechal, wiersze jego recytowali Alina Kulińska i Andrzej Jędrzejewski.

Julian Tuwim, w którego twórczości tyle jest mowy łódzkich, zasłużył sobie na szczególną pamięć u mieszkańców naszego miasta. Czy nie byłoby słuszne i celowe, aby Wydawnictwo Łódzkie zebrało wszystkie utwory Tuwima o Łodzi lub z Łodzi związane i opublikowało je w osobnym tomiku? Dla miłośników twórczości pisarza, których jest tak wielu, byłoby to grakiem lada.

Proponujemy tę przedkładamy redaktorom W. L. pod rozważenie.



CO NOWEGO W „POLITYCE”?

Czegóż to nie znaleździemy w świątecznym numerze „Polityki”? Polityka przenika wszystkie dziedziny naszego życia, a może nawet wszystko jest polityką, przeto „Polityka” pisze o wszystkim. Jak zwykle, wiele znakomych informacji, jak zwykle dotychczas nas wszystkich. O adwokataturze, kierunkach reform i perspektywach zawodu pisze wice Minister Sprawiedliwości, Marian Rybicki: „Dla ponad 5 i pół tysięcznej rzeszy adwokatów nie starcza już prywatnej klienteli, szczególnie w takich największych skupiskach adwokackich, jak Warszawa, Kraków, Poznań, Łódź i in. Wiele oznak wskazuje, że w przyszłości będziemy mieć zjawisko nie wzrostu, lecz spadku zapotrzebowania na obsługę prywatnej klienteli”. O nagrodach Nobla za rok 1963 pisze „Macierz” Iłowicki: „Osiągnięcia stereochemii – to znać czy dokładne poznanie układów przestrzennych związków organicznych – pozwoliły już przejść do następnego etapu – tzn. prób wpływania na ten układ. Jest to normalna droga rozwoju nauki – najpierw poznanie i opis jakiegoś zjawiska – a następnie próba wykorzystania go w praktyce przez odpowiednią zmianę warunków jego przebiegu”. Miłośnikom wierszy Juliana Tuwima warto polecić lekturę artykułu Ryszarda Matuszewskiego „Jeszcze do niego powróć”, a także listów Tuwima wybranych przez Janusza Stradeckiego, Matuszewski buduje model – model zresztą bardzo dyskusyjny – nie tyle twórczości poety, ile dzisiejszego odbioru tych wierszy. Listy każą myśleć o konkretnie psychologicznym i konkretnie historycznym: o konkretnych wiek, które ów model odbioru po dziś dzień warunkują.

NOWA KLASA

W „Kulturze” prof. Jan Szczepański pisze o strukturze klasowej polskiego społeczeństwa. Cyfry, które znakomity socjolog podaje w swoim artykule, godne są zapamiętania i rozważenia: żyjąc w środowiskach zamkniętych (lub przynajmniej na wół zamkniętych, niewiele w gruncie rzeczy wiemy przecież o przemianach, które zachodzą i zachodzą w strukturze naszego społeczeństwa. Coś, oczywiście wiemy. Ale wiedza nasza jest i uboga i schematyczna. Nie jasne wyobrażenia i ogólnikowe sformułowania utrzymują się w atmosferze przez wiele lat: nawet jeśli niedługo były prawdziwe, dziś mogą okazać się fałszywe i nie-

przydatne do oceny rzeczywistości. Cóż wiemy na przykład o owej nowej klasie, jaką stało się czy stała drobnomieszczaństwo? Niegdyś symbolem drobnomieszczaństwa była pani Dulka. Zdaje się, że skłonni jesteśmy symbolem tym posługiwać się po dziś dzień. Drobnomieszczaństwo, „pisał Szczepański „przed wojną stanowił wraz z rodzinami ok. 3.500.000 osób, czyli około 11 proc. obywateli kraju”. Ale dziś nie można już twierdzić socjolog, „mówić o identycznej klasie z przedwojennym drobnomieszczaństwem. Ekonomicznie klasa ta ma możliwość uzyskiwania najwyższych dochodów w społeczeństwie socjalistycznym. Można by ją nazwać klasą „inicjatywy prywatnej” oraz pozarolniczej spółdzielczości wytwórczej i usługowej. Jest instytucjonalizowana, posiada własne organizacje gospodarcze, reprezentację polityczną, czasopisma i gazety (...) Jest to klasa, która w procesie budowy socjalizmu wynosi największe korzyści ekonomiczne i myli się Dżilas oraz jego nastawcy głoszący tezy o nowej klasie „zarządzającej w społeczeństwach budujących socjalizm, osłabiającej największe korzyści materialne. Sklepiak na Chmielnej może przynieść daleko większe dochody niż stanowisko ministra”. Zmieniły się więc instytucje i przekonania, a przede wszystkim zmieniły się cyfry. Czas przeto, by i symbole się zmieniły: za ladą sklepiaka na Chmielnej nie stoi dziś pani Dulka. Powiedzmy może inaczej: czas, by uznać przydatność nowych symboli. Mimo wszystko, symbole Tuwima Różewicza lepiej przylegają dziś do rzeczywistości niż symbole Gabriela Zapolskiej. Można się o tym przekonać, czytając zamieszczony w tym samym numerze „Kultury” nowy poemat Różewicza „Non stop shows”.

NIENAWIDZA KULTURALNIE

O ludziach, którzy nienawidzą kulturalnie, pisze w tymże numerze „Kultury” Janusz Kolczyński. Ludzie ci od szesnastu lat wydają w Paryżu miesięcznik „Kultura”. „W szesnaste lat potem – pisze Kolczyński – Juliusz Mieroszewski, który zaczął stać się współpracą z „Kulturą” dopiero na przełomie 1949 i 1950 roku, uzął się zmuszony stwierdzić w kontekście jakiegoś swego artykułu: „Między nami na emigracji i inteligencją w kraju przez owe czterdzieści lat wyrósł mur obojętnej i byłoby dziwne, gdyby było inaczej”. Wypada, za Kolczyńskim, przyznać w tym wypadku rację Mieroszewskiemu: rzeczywistość, byłoby dziwne, gdyby było inaczej. Przez dwadzieścia lat coś się jednak w tym kraju zmieniło: zmieniły się, powtórzmy, instytucje i przekonania i zmieniły się cyfry. Zmieniła się struktura społeczna. I zmieniły się symbole. Różewicz mówi o nas i dla nas. To co ma do powiedzenia, nas przede wszystkim dotyczy, a nie owego skamieniałego i jakże dziwnego świata, o którym pisze Kolczyński, świata z którym coraz trudniej jest się nam porozumieć i który coraz trudniej jest nam zrozumieć.

BOILEAU

„Pan Tadeusz” i Hermann Buddensieg

Przed tygodniem otrzymałem przesyłkę książkową z Heidelbergu. Zaciekawiony, co to może być, odwiązałem opakowanie pośpiesznie i z nie małym zdziwieniem. Całkowita niespodzianka: Pan Tadeusz Adama Mickiewicza w przedkładzie Hermanna Buddensiega, wydany nadzwyczaj starannie przez monachijską firmę „Eidos Verlag”. Wydanie Pana Tadeusza po niemiecku jest niewątpliwym wydarzeniem, zważywszy na historię tego przekładu i osobę przekładawcy – Hermanna Buddensiega. Ale o tym jeszcze za chwilę.

Najpierw przypomnijmy, że Pan Tadeusz tłumaczony był w Niemczech kilkakrotnie. Po raz pierwszy w roku 1836 (a więc zaledwie w dwa lata po ukazaniu się oryginału w Paryżu) przez Richarda Otto Spaziera, następnie w roku 1882 dwukrotnie: przez Alberta Weissa i Siegfrieda Lipinera. Poem następuje długa przerwa i dopiero po ostatniej wojnie Pan Tadeusz ukazuje się w Roku Mickiewiczowskim (1955) jednocześnie w NRF i NRD w tym samym tłumaczeniu Waltera Panitza. Warto tu przypomnieć, że przed rokiem 1939 Edwin Richter ze Dwowa tłumaczył Pana Tadeusza na język niemiecki, a Stanisław Czernik opublikował kilka fragmentów tego przekładu w wydawanej przez siebie „Okolei poetów”. Jednakże przekład Edwina Richtera nigdy nie ukazał się w książce i nie wiadomo, co stało się z tym przekładem, jak i jego autorem.

Obecne tłumaczenie Pana Tadeusza, dokonane przez Hermanna Buddensiega, jest piątą z kolei. Dotychczasowi tłumaczący przekładali epopeję Mickiewiczowską wierszem rymowanym. Hermann Buddensieg postąpił podobnie, jak Paul Cazin we Francji: dokonał tłumaczenia Pana Tadeusza wierszem bezrymowym, heksametrem. Przekłady rymowane miały m. in. tę wadę, że w pogoni za rytmem oddalały się od wierności oryginałowi, fraza stawała się często, sztuczna lub wręcz dowolna i naciągana.

Wspomniałem tu nazwisko francuskiego tłumacza Pana Tadeusza – Paul Cazin. Otóż jego przekład bezrymowy zganili w swoim czasie, i to nawet bardzo, Zygmunt Nowakowski, twierdząc, że rymy w Panu Tadeuszu stanowią jeden z niezwykłych walorów tego arcydzieła. Któż jednak zdoła w obym języku oddać rymotwórcze bogactwo Pana Tadeusza?

I czy to w ogóle jest możliwe? Przekład Hermanna Buddensiega jest maksymalnie ścisły i wierny w stosunku do oryginału. Buddensieg nie musiał naciągać dla rymu. Z dotychczasowych prób przyswojenia językowi niemieckiemu Pana Tadeusza, ta próba wydaje się najbardziej udana. Autor przekładu uchwycił i zachował w pełni klimat epoki, a piętym jego poszedł w kierunku możliwie dokładnego odtworzenia urody pejzażu, obyczajów i walorów artystycznych poematu. Buddensieg zachował tytuł oryginału (dawniej przekładano Pana Tadeusza na Herr Thaddäus), a i w tekście wszystkie nazwy pozostały w brzmieniu polskim. Cisną się na usta słowo

podziwu dla trudu przekładawcy, który przez lat sześć pracował nad przyswojeniem Pana Tadeusza niemieckim. Sam zresztą pisze o tym w posłowiu do wydanego poematu.

W roku 1955 Hermann Buddensieg brał udział w uroczystościach Mickiewiczowskich w Warszawie. Po powrocie do swego kraju postanowił wydawać czasopismo „Mickiewicz – Blätter”, które ukazuje się do chwili obecnej. Mam w domu bodaj wszystkie numery „Mickiewicz – Blätter”. Jest to, bez przesady, wydawnictwo imponujące. Każdy numer tego kwartalnika liczy 200 stron druku i służy nie tylko popularyzacji twórczości Mickiewicza, lecz literatury polskiej w ogóle. I to zarówno literatury dawnej, jak i współczesnej. Spotykamy więc na łamach „Mickiewicz – Blätter” wiersze Kochanowskiego i Słowackiego, ale także utwory prozatorskie Sienkiewicza, Orzeszkowej i Krasińskiego. Z poetów współczesnych Buddensieg publikuje Gajczyńskiego, Jastrunę, Słonimskiego, Lieberta, Lechonia, Wierzyńskiego i innych. Sąga również po teksty krytyków np. Karola Irzykowskiego. Nie brak na łamach „Mickiewicz – Blätter” utworów tych pisarzy niemieckich, którzy zainteresowani kulturą i literaturą polską, działali na rzecz wzajemnego poznania i zblżenia. Buddensieg wykorzystuje przez kłady stare i nowe, swoje i cudze, m. in. korzysta z tłumaczeń Karola Dedicusa (urodzonego w Łodzi), który jest bez wątpienia najlepszym współczesnym przekładawcą poezji polskiej na język niemiecki. Na łamach „Mickiewicz – Blätter” ukazywały się również fragmenty Pana Tadeusza, opublikowanego obecnie w wydaniu książkowym.

Hermann Buddensieg pisze w posłowiu do swego przekładu: „Nie kierowały mną żadne względy zewnętrzne, jedynie miłość do tego niezrównanego dzieła Adama Mickiewicza i pragnienie, aby pozyskać dla niemieckiej mowy „niemieckiego Pana Tadeusza”, który, zachowując maksymalną wierność względem oryginału, oddałby poetycką piękność, bogactwo myśli i obrazów, plastykę postaci, a wreszcie wartości etyczne tego eposu”.

Buddensieg wyznaje dalej, iż nie bez znaczenia w jego pracy nad przekładem Pana Tadeusza była zachęta ze strony Mieczysława Jastruna. „Fragmenty mojego przekładu heksametrem – pisze on w posłowiu – przedłożyłem Jastrunowi. Próbe moją uznał za udaną. Jego opinia dodała mi odwagi”.

Istnieje w Polsce doroczna nagroda PEN-Klubu dla zagranicznych tłumaczy naszej literatury. Proponuję, aby w roku 1964 nagrodę PEN-Klubu przyznać Hermannowi Buddensiegowi. Przede wszystkim za przekład Pana Tadeusza, ale także za wysiłki, zupełnie wyjątkowe i niezwykle, w dziele popularyzowania literatury polskiej na niemieckim obszarze językowym. Tacy ludzie, jak Hermann Buddensieg, którzy całym swym czasem, talentem, wiedzą i umiejętnością poświęcają bez reszty kulturze polskiej, zjawiają się raz na stulecie. Pracę takich ludzi trzeba cenić i nagradzać!



Ten rysunek z epoki „wczesnego charlestona” jest dziełem samego Williama Faulknera: roczniki Uniwersytetu w Oxford zawierają wiele jego ilustracji!



Z TEK I LTF

Fot. R. KOWALIK

Warto bejrzec

Wiednie „Kółko i krzyżyk”, dogorywa „20 pytań”, „Kłamacy i błagierzy” nie potrafią już zwiędzić nikogo — na smutnoszarzym tle teleturbinowego repertuaru zdolnością emocjonalną i bawienia wyróżnia się „Wielka gra”. Zgodnie ze zwyczajem pojawi się w programie telewizyjnym w pierwszą niedzielę miesiąca, tj. 5 stycznia.

Czy my wszyscy, którzy oglądamy „Wielką grę”, zdajemy sobie sprawę z przemożnego wpływu wychowawczego, jaki na nas — podstępnie — wywiera? Prezentuje oto ludzi, umiających kultywować osobiste zainteresowania, i tę kultywację osobistej ciekawości intelektualnej wymagają. W naszych czasach jest to argument silnie przemawiający za wzbogacaniem osobistej wiedzy — sześćdziesiątka dwudziestopięć dla dorosłych, którzy szkolę piątki, nie mające wartości wymiennej, często lekceważyli. I nadto jeszcze jedną miłą dla nas funkcję pełni „Wielka gra”: fakt wyplucania przez telewizję tak poważnej sumy zwycięzczy, będącemu jednym z nas — to nasza na niej zemsta za wszystkie nieudane programy, za nudne wieczerze, jakich już nam dostarczyła i jakich jeszcze dostarczy.

„Wielka gra” umiała stworzyć atmosferę uczonej rozgrywki. Ma antenatów w quizach, nadawanych przez telewizję włoską, francuską czy amerykańską, ale w odróżnieniu od tamtych, nie służy żadnym celom komercyjnym. Dlatego nie musi sztucznie kreować bohaterów intelektu, którzy potem wzmocniąliby „wym” autorytetem praktykę mydła lub spinek do kuszul. Takie

m. in. podłoże miała wielka afera Charlesa Van Dorena z 1959 r., którego nazywano amerykańskim „cudem natury i kultury”, a który był oszustem na służbie w oszustów.

Słowo jesteśmy przy aferach — zapowiedzimy nową serię kryminałów filmowych, którą telewizja obiecuje rozpocząć z początkiem stycznia. Firmuje je caczuska sam Alfred Hitchcock. Rodzimej „Kobry” nie wypada wymienić w tym towarzystwie, choć co prawda jej tytuł „Przepraszam, pomyłka” (9.1.) jest skromny i świadczący o dużej dozie samokrytycyzmu.

Warto natomiast zwrócić uwagę na program publicystyczny (3.1.), „Pamiętniki osiedleńców”. Być może, wiąże się on z fascynującą publikacją opracowaną przez Zygmunta Dulcewskiego i Andrzeja Kwileckiego „Pamiętniki osiedleńców Ziemi Odzyskanych” (Wydawnictwo Północne 1963). Książka prezentuje żywą historię polskich Ziemi Zachodnich opowiedzianą przez samych jej twórców, jest dramatem ze spalenia się ludzi z ziemią i wzajemnie ze sobą. Pokazuje początek tej jedności społecznej, która ujawniła się w pełni ostatniego lata, gdy społeczeństwo Wrocławia — społeczeństwo Ziemi Zachodnich — stanęło do walki z ośpa.

Publicystyką w ogóle warto zająć się w poświęconym ostatniemu numerowi „Cieszymy się życiem” w reżyserii Edwarda Dzierżewskiego (Warszawski Teatr TV, 6.1.).

J. M.

Tydzień w kinie

Bieżący tydzień nie należy do najbardziej urodzajnych pod względem wartościowych premier filmowych. Właściwie premiery będą tylko dwie — obydwie utrzymane jeszcze w nastroju świątecznym, czy też mówiąc szczerzej i prościej — ogórkowym. Czechosłowacki film „Zamieć” i angielski „Chcemy się bawić” — to tytuły filmów, z którymi chcemy zapoznać Centrala Wynajmu Filmów. W sukurs tym pozycjom przychodzi „Milioner bez grosza”, wznowienie filmu, który wyświetlany przez kilka dni dał nie-

spodziewaną frekwencję. Wszystkie te filmy należą do grupy, którą chętnie określamy wspólną nazwą filmu rozrywkowego.

Nie mam nic przeciwko rozrywce — ale lubię, kiedy napięcie także zapomnieli o niewygodnym krześle, a komedia powoduje wybuchy śmiechu. Tymczasem trzy omawiane filmy nie spełniają tych warunków, czynią tylko niejakie usiłowania w tym kierunku. „Zamieć” jest dość grzeszną opowieścią zimową dla nieostrożnych i lekkomyślnych, okraszona ciekawymi zdjęciami — ale w dziedzinie budowania napięcia nie umywa się nawet do bardzo dobrego filmu dokumentalnego „Gwiazdy w południe”, dwa pozostałe filmy to komedie produkcji angielskiej. Zarówno „Milioner bez grosza”, jak

i „Chcemy się bawić” to filmy, które mają wszelkie dane po temu, aby zdobyć sukces kasowy — komedii mamy bardzo mało, a komedii muzycznych jeszcze mniej. Obydwaj też mają zasadniczy atut kasowości — znaną i lubianą gwiazdę — w jednym wypadku jest to Gregory Peck, w drugim piosenkarz Cliff Richard. Obydwaj filmy wreszcie są barwne i panoramiczne, co ciągle jeszcze jest istotną przyczyną powodzenia. Istnieje niestety jeszcze jedna wspólna cecha, łącząca obydwaj filmy: niedowład dramatyczny. W „Milionerze bez grosza” fabuła ciągnie się bezkrytycznie, gdzieś już w połowie filmu przesłanie dzieła urok amerykańskiego amanta, przestaje pomagać młodzieńcu i ładnie bawia i wtedy brutalnie wydobrywa się na wierzch słabość podstawowa — wadliwy pomysł, znakomitego w oryginale literackim, a ciągniętego za uszy w wersji filmowej.

Podobna sytuacja jest w filmie „Chcemy się bawić”. Ale tu trochę zmieniają się nasze wymagania, bo przywykliśmy nie wymagać zbyt wiele w dziedzinie dramaturgii od komedii muzycznej. Przywykliśmy, że komedia muzyczna oferuje nam do przyjęcia najmniej skomplikowane i najmniej sensowne intrigi — ale mimo to zbyt wiele jest w tym filmie pułapek i takich miejsc, w których nie nie skupia na sobie naszej uwagi — ani piosenka, ani taniec, ani (nieefektywne) gagi, ani wreszcie aktorstwo.

Przyznać jednak trzeba, że z trzech komedii muzycznych, jakie ostatnio przysłała nam Anglia, „Chcemy się bawić” ma najwięcej sensu komediewego i walorów filmowych. Być może, że to zwiastuje koniec ery bezmyślnych antologii „bożyszcz nastolatków”. Być może, że film z Cliffem Richardem zawiera już propozycje zrezygnowania z komercyjnymi i żenujących modeli „zabaw na sto dwa”. W tym filmie okazuje się, że młodociany gwiazdor może być aktorem, i że nie musi poprzestawać na sprzedawaniu swoich starych przebojów, że, wreszcie, stary model intrygi i przebieganek nie jest jeszcze tak najgorszy. „Chcemy się bawić” jest filmem słabym wprawdzie, ale nie pozbawionym stylu — a to jest już chyba duży komplement. Ostatecznie — w braku „Deszczowej piosenki” dobry i klub młodzieżowy,

EWA LIWIŃSKA



„Odgłosy” zadaly studentom Filologii Polskiej Uniwersytetu Łódzkiego czwartego i piątego roku studiów kłopotliwe (dla redakcji) pytanie:

CO TWOIM ZDANIEM NALEŻAŁOBY UCZYNIĆ BY „ODGŁOSY” STAŁY SIĘ TWOIM TYGODNIKIEM?

Oto niektóre odpowiedzi:

Zmienić profil czasopisma. Przenieść się do dziedzin wymagających odrobiny intelektu.

Krystyna Majewska, V rok

Więcej ciekawostek. Krzyżówka, kącik brydżowy. Szachy. Obok tego artykuły problemowe, ciekawe reportaże.

Krzysztof Radliński, V rok

Wskazana byłaby lepsza szata graficzna tego tygodnika i częste zamieszczanie artykułów „młodzieżowych”. Niech „Odgłosy” nie boją się wzorować na „Radarze”.

Maria Miłoś, IV rok

Dotychczas „Odgłosy” były dla mnie pismem typowej łódzkiej prowincji. Gdybym proponował coś zmienić, to głównie to, by przestać uważać Łódź za zaścianek i przestać mu pochlebiać. Więcej powagi

i kultury na poziomie ogólnopolskim, zamiast stylizowanej lokalnej „kulturki”.

Jerzy Paradecki, IV rok

W dalszym ciągu kontynuować cykl artykułów wiedzy o filmie. Więcej o sprawach studenckich.

Barbara Domańska, IV rok

Mniej kociaków i sensacji — więcej miejsca dla spraw polityczno-społecznych i kulturalnych.

Teresa Stasinowska, V rok

Muszą być droższe. Pismo bardzo tanie wzbudza podejrzenie. Wprowadzić dział mody — już samo to przyciągnie czytelniki. Zmienić szatę graficzną!!!

Wprowadzić dział informujący o współczesnej piosence i piosenkarkach.

M. Kowalska, V rok

Szyfrowa praca — i tak się nie staną.

Galkiewicz, IV rok

I co na to redakcja „Odgłosów”?

Redakcja jęknęła — „Czego też się zachciewa polonistom!” — po czym wzięła się do pracy. Oczywiście — do szyfrowej pracy.



Książki

4 KWARTAŁ W WYDAWNICTWIE ŁÓDZKIM

Włodzimierz Piórowski — Dole i niedole diabła Boruty — cena 20 zł. Zbiór baśniowych opowieści i legend o leczącym diable-szlachci.

Biblioteka Poetów 1963 — cena 30 zł. Dziesięć tomików łódzkich poetów.

Tadeusz Giegiel — Moje boje — cena 12 zł. Tomik łódzkiego satyryka zawierający wiersze, frazki i limeriki o dużej sile komicznej.

Zygmunt Gostkowski — Dziennik Łódzki — w latach 1884—1892, cena 30 zł. Praca łódzkiego historyka oparta na materiale źródłowym, zawiera dzieje pierwszej łódzkiej gazety i stanowi interesujące studium kształtowania się polskiej opinii publicznej.

Kazimierz Bieroński — El Talamiz — cena 22 zł. Powieść historyczno-przygodowa autora znanych „Szenogramów Any Jambor”. Akcja rozgrywa się za czasów Jana Olbrachta i opowiada o przygodach młodego Polaka w Turcji, Indii, Egipcie.

Apoloniusz Zawilski — Szklane zbocze — cena 18 zł. Powieść o wsi wołyńskiej w latach międzywojennych.

Igor Sikirycki — Ostrożnie, święte malowane — cena 14 zł. Tomik satyr i ballad łódzkiego poety.

Monika Warnencka — Historia rodu Kruksche — cena 10 zł. Pełna ciekawych wydarzeń opowieść o dziejach fabrykanckiej dynastii potentatów przemysłowych Fabianic.

Nad Nidą Almanach Ziemi Kieleckiej, cena 12 zł. Almanach zawiera wiersze, opowiadania, reportaże 24 autorów nagrodzonych na konkursie ogłoszonym z okazji roku Ziemi Kieleckiej.

Horacy Safrin — Przy szabasowych świętach — cena 20 zł. Zbiór anegdot o polskich Zydach ukazujących klimat, odrębność obyczajową i społeczność.

Bestselleru minionego tygodnia

FILM

POLONIA — „Zaćmienie” 10 597 widzów

BALTYK — „Przeminęło z wiatrem” 9 234 widzów

TEATR

POWSZECHNY — „Niedźwiedź króla Gniewobora”, Sikirycki i Sykała : 2 040 widzów

i „Jaśnie Pan Nikt” Lope de Vega : 1 180 widzów

NOWY — MALA SALA — „Czerwona magia” 360 widzów

NOWY — „Maria Stuart”, Słowackiego 1 800 widzów

„Cyrano de Bergerac”, Rostanda ; 500 widzów

TEATR MUZYCZNY

OPERETKA — „Sensacje w Londynie”, Kawana i Bauera 3 400 widzów

ESTRADA

Impreza art.-reklam. „Teatryk reklamy” (15 imprez na terenie woj.) 7 500 widzów

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, Tel. 244-75
Warunki prenumeraty: miesięcznie 22 zł kwartalnie 72 zł
Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Historioze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Odgłosy”,
Druk: RSW „Prasa” Łódź, Zwirki 17,
Zam. 3917. XII. 63. F-4